

## P r o t o k ó ł

57

Kraków, dnia 16 lipca 1945 r. Sędzia grodzki dr Stanisław Zmuda, przybrany do prac Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, na wniosek, przy współudziale oraz w obecności członka Głównej Komisji dla Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce podprokuratora dra Wincentego Jarosińskiego, przesłuchał na zasadzie art. 254, w związku z art. 107 i 115 Kodeksu Postępowania Karnego w charakterze świadka b. więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu - mgra Tadeusza Kahla nr 66707. -----

Świadek, po uprzedzeniu go o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania, zeznał co następuje: -----

Nazywam się Tadeusz Kahl, urodzony 27.VII. 1908 r. w Krakowie, jako syn Eugeniusza i Marii Karoliny z Pakiesów, adwokat, rzymskokatolik, narodowości i przynależności państwowej polskiej, zamieszkały przed aresztowaniem w Krakowie, przy ul. Pędzichów 11, obecnie - Dietla 13, żonaty. -----

W nocy z 30-tego na 31-ego października 1941 przybyło do mego mieszkania przy ul. Pędzichów 11 trzech gestapowców i, po zbadaniu tożsamości mej osoby, polecieli mi udać się ze sobą. Gestapowcy oświadczyli żonie mej, że za trzy dni powrócę do domu. Po wyjściu z bramy gestapowcy polecieli mi wsiąść do auta i zawieźli do budynku gestapo, mieszczącego się w Krakowie, przy ul. Pomorskiej 2. Tam wprowadzono mnie do jednego z pokoi na III piętrze, gdzie zastałem już, znanego mi osobiście, sędziego dra Zygmunta Rogowskiego. Po krótkim czasie gestapowcy przeszli do drugiego pokoju, dokąd następnie przeprowadzili sędziego Rogowskiego. Po pewnej chwili znowu wyprowadzili go w towarzystwie jego siostrzeńca Jana Zamorskiego. Zamorski nosił na sobie ślady dotkliwego pobicia i miał nogi skute kajdanami. Mnie również polecono wyjść z pokoju i bez przesłuchania, tym samym autem co Rogowskiego przewieziono na Montelupich; Zamorski pojechał innym autem. Na Montelupich zaprowadzono nas tzn. mnie i Rogowskiego do



biura, gdzie w sposób brutalny przeprowadzono u nas rewizję osobistą, zabierając wszystko, prócz chusteczek i grzebieni. Po rewizji odprowadzono nas około 2-giej godziny w nocy do celi na drugim piętrze, mnie do celi 142, dra Rogowskiego do celi 145. W chwili wpuszczania mnie do celi zaświecono światło tylko na jeden moment, a po zamknięciu drzwi, zaraz je zgaszono. Przez ten moment zauważyłem na celi, już oczywiście między śpiącymi, znajomego inż. Gołogórskiego. Następnego dnia wywołano mnie dwukrotnie z celi, a to przed południem, do podpisania złożonego w biurze depozytu, zaś po południu sprowadzono mnie na dziedziniec, gdzie zauważyłem również Rogowskiego. Tam postawiono nas obu przy aucie i referent cywilny zrobił kilka zdjęć leikowych. W drodze powrotnej siedłem za owym referentem i Rogowskim, którzy ze sobą rozmawiali. Posłyszałem z rozmowy tylko fragment po niemiecku: "radzę panu, niech pan swojego siostrzeńca nie bierze w obronę" /Zamorski jest siostrzeńcem Rogowskiego/. Po chwili przystąpiłem do owego cywila-referenta z zapytaniem, czy ja jestem również aresztowany w związku z Rogowskim. Na to otrzymałem odpowiedź bardzo dobitnie wymawianą: "dass kann ich ihnen nicht sagen". Od tego czasu nie interesowano się moją osobą przez pełnych 4 miesiące. Na celi 142 zastałem następujące osoby: inż. Aleksandra Bugajskiego, który pełnił funkcję komendanta celi; em. podpułk. Stręka; księdza Wojciecha Biernata, proboszcza z Krzyżenowic pod Bochnią; urzędnika kolejowego Simsena; Józefa Krawczyka i innych, których nazwisk sobie w tej chwili nie przypominam. Trafiliem na szczęśliwą celę, gdyż więźniowie w niej znajdujący się zajmowali się wynoszeniem kubłów z całego skrzydła korytarza i wtedy mogli kontaktować się dorywczo z innymi celami, a nadto "szóstka", która wykonywała tę pracę, otrzymywała często podwójną porcję zupy. Tą drogą, w dwa dni po aresztowaniu mnie, otrzymałem "gryps" od brata owego Zamorskiego, a mojego przyjaciela, który siedział na tym samym piętrze. Z tego "grypsu" dowiedziałem się, że jestem wmieszany w sprawę zabójstwa sędziego Wasilewskiego. W prze-



ciągu czterech najbliższych dni przybyło na celę dwóch nowych więźniów, a to: emerytowany inspektor szkolny z Katowic Kobyliński i kameduła z Bielan, brat Damian, zaś w międzyczasie wypuszczono inż. Gologórskiego. Z początkiem listopada dowiedzieliśmy się, że w więzieniu zdarzyło się kilka wypadków tyfusu, w związku z czym zarządzono kwarantannę i dezynfekcję całego więzienia. Kwarantanna polegała na tym, że przez cały czas jej trwania kontakt z więzieniem był zupełnie zerwany tzn. nikogo nie wpuszczano, nikogo nie przyjmowano i nie było żadnych przesłuchań. Dezynfekcja odbywała się w ten sposób, że ośkażano kolejno po kilka cel z każdego piętra, przeprowadzając więźniów z tych cel do cel innych; następnie zaś więźniowie szli do łaźni, gdzie składali swoje ubranie do dezynfekcji gazowej, sami zaś po dokładnym usunięciu owłosienia i kąpieli, w jednym kocu, udawali się do innych cel, gdzie czasami jeszcze ze dwa dni czekali, zanim celi właściwa będzie gotowa. Było to połączone oczywiście ze specjalną udręką, gdyż np. w celi jednoosobowej, o szerokości może 1 m 80 cm w której było tylko cztery łóżka wypełnione siennikami, umieszczono nas 18-tu, przy czym, jak nadmieniałem, każdy posiadał tylko jeden koc a celi opalona była bardzo słabo. -----

O ile chodzi o wyżywienie, to otrzymywaliśmy w tym czasie chleb kostkowy, zdaje się 1 kilo 200 gr. na cztery osoby; rano i wieczór jeden litr gorącej kawy; w południe zaś litr zupy. Ponadto patronat więzienny dostarczał 3 razy na tydzień dodatki w postaci: 1/ pasty mięsnej, 2/ marmelady, 3/ sera mieszanego z zieleniną. Raz na tydzień dostawialiśmy zamiast chleba więziennego - chleb patronacki, którego zawsze było znacznie więcej. Prócz tego - co stwierdzaliśmy przez szparę w okiennym koszu - patronat przywoził worki z jedzeniem, tak np. kasza, makaron, a nawet ziemniaki /które to rzeczy czasami dostawialiśmy/, pochodziły od społeczeństwa polskiego, gdyż więzienie poza kawą, solą i mąką, w rozpaczliwych zresztą zupach mącznych "plakotówkach", nam nie dawało. Nadmieniam jeszcze, że każdy więzień przychodzący do celi, otrzymywał na dole w kancelarii miskę i łyżkę;



w braku misek używano nocników. W ten sposób w kwarantannie, która była dwukrotnie przedłużana, minęło dwa miesiące, a w nich Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Na święta te otrzymaliśmy każdy z patronatu więziennego po paczce, na Boże Narodzenie wagi, zdaje się, około 2 kg i małą na Nowy Rok. Z początkiem stycznia 1942 r. rozpoczęły się przesłuchania. Z naszej celi był wówczas słuchany brat Damian, którego szata duchowna nie uchroniła od uderzeń i kopañ. Poza tym z opowiadań kolegów celowych dowiedziałem się, że większość z nich, przy dawniej odbytych przesłuchaniach, była dotkliwie bita, tak np. inż. Bugajski był bity po prostu do nieprzytomności, a gdy po przyjściu do siebie odmówił przyjęcia cygara z rąk gestapowca, ten włożył mu to cygaro, palące się, ogniem do ust. Również bitym był przy przesłuchaniu wspomniany wyżej ksiądz Wojciech Biernat. Od początku lutego 1942 r. wyszło zarządzenie, zezwalające więźniom na odbieranie raz na tydzień paczek żywnościowych. Trwało to jednak tylko do 14 kwietnia, po czym paczki można było otrzymywać jedynie na zapotrzebowanie, które było jednak bardzo ciężko otrzymać. Paczki były oczywiście przed wydaniem rewidowane i niejednokrotnie przychodziły częściowo opróżnione, nie wiadomo nam tylko było, czy robili to SS-manni, czy też tzw. "arbeiterzy". O ile chodzi o tych ostatnich, było takich na każdym piętrze po sześciu, nie licząc fryzjera. Obowiązkiem ich było donoszenie i rozdzielanie jedzenia, czyszczenie ustępów i korytarzy i inne drobne posługi, które im zarząd więzienia zlecał. Więźniowie ci, jeżeli byli godnymi Polakami, potrafili oddawać współwięźniom ogromne przysługi, gdyż mając możność przez cały dzień znajdować się na korytarzu, mogli kontaktować się z celami i w ten sposób wzajemnie porozumiewać więźniów, a nadto w innych drobniejszych wypadkach mogli też przynosić im ulgę. Często jednak nie odpowiadali oni swojemu zadaniu i stawali się narzędziem szykan w stosunku do więźniów. I tak na przykład wyciągali kosztowne nieraz części garderoby od więźniów za kawałek ohleba lub trochę zupy. W pamięci utkwiał mi komendant



celi "arbeiterów" Zbigniew Szarlowski, rodem z Jarosławia i tam zamieszkały, który gorliwością swą przewyższał strażników niemieckich i tak np. przy rewizjach kazał ściągać buty, skarpetki, a znając z własnego doświadczenia sposoby więzienne, był specjalnie niebezpieczny. Nadto na każdym kroku szykanował i bił więźniów, specjalną nienawiść czując do inteligencji. Co do mnie np. błędnie widocznie poinformowany, z dziwną zjadliwością nazywał mnie "profesorkiem" i w czasie wynoszenia kubłów niejednokrotnie bił mnie laską, czy też drągiem, z którym się rzadko rozstawał. Nie wyjdzie mi nigdy z pamięci obraz, kiedy tenże przepędzając z celi transportowej do łaźni nagich więźniów, przeznaczonych na transport do Oświęcimia, bił ich jakimś harapem czy też gumą. Osobnik ten został z początkiem 1942 r. wypuszczony na wolność.-----

O ile chodzi o spacery, to przez cały ten czas mieliśmy dwa, trwające około 20 minut, przy czym urządzano nam dość męczącą gimnastykę. W czasie pierwszego spaceru zdołałem między więźniami sąsiednich cel rozpoznać szereg znajomych jak np. sędziego Łazarzskiego, sędziego Szyposza, adw. Augustynka, kompozytora Adama Kopycińskiego i innych. -----

Moje przesłuchanie pierwsze i ostatnie miało miejsce dopiero w dn. 27 i 28.II.1942 r. Odkryło się ono zupełnie spokojnie w celi więziennej na Montelupich, przy czym traktowano mnie zupełnie poprawnie. Dano mi nawet papierosa. Również przy tym przesłuchaniu oficjalnie nie postawiono mi żadnego zarzutu, a całe przesłuchanie, zresztą ogromnie nieudolnie przeprowadzane, skończyło się na zadawaniu mi pytań: czy i skąd znam Zamorskiego? Rogowskiego? sędziego Wasilewskiego i dwóch innych?, a nadto padały stereotypowe pytania: czy jestem wrogo usposobiony do narodu niemieckiego? czy czytałem ulotki? słuchałem radia? należałem do organizacji tajnych? którym to wszystkim pytaniam zaprzeczyłem. Również zapytano mnie w związku z moim nazwiskiem o brzmieniu niemieckim, czy nie jestem Niemcem. Odpowiedziałem na to, że, jak przynajmniej nazwisko wskazuje, musiałem



tem mieć jakichś przodków Niemców, jednak którzy i kiedy nimi byli, o tym nie jest mi nie wiadomym; ja natomiast byłem, jestem i pozostałem Polakiem. Po spisaniu protokołu dano mi go do odczytania i podpisania. -----

Do połowy lutego więzienie zaczynało stopniowo pustoszeć, gdyż co drugi prawie dzień wychodził transport do Oświęcimia, a ponadto kilkunastu ludzi wyszło na wolność. Nowych więźniów na Montelupich w tym czasie nie umieszczano, tak że na każdym piętrze po kilkunastu celach zostało opróżnionych, a więźniów pomieszczano w celach pozostałych. Dopiero w połowie lutego zaczęły się nowe aresztowania, a przede wszystkim ogromną masę więźniów dostarczyła sprawa dr Ernestyny Michalikowej, w dniu 22.II.1942 r. W samej naszej celi umieszczono pięciu więźniów, związanych z tą sprawą, a to hr. Dzieluszycki, Zdziechowski, kupca poznańskiego Jagielskiego, lekarza dentystę Porańskiego, nauczyciela z Jedlicz Firleja i tamt. proboszcza, nie pamiętam mi nazwiska. Wszyscy oni po przeprowadzeniu sprawy w przeciągu dwóch miesięcy zostali przewiezieni do Oświęcimia i o ile mi wiadomo poza Firlejem i owym proboszczem, wszyscy zginęli. -----

Ważną dla więźniów sprawą było palenie papierosów, które w zasadzie było więźniom bezwzględnie zakazane. Starali się więc oni za wszelką cenę zdobywać cośkolwiek do palenia, prosząc o to przede wszystkim robotników, a poza tym wylepując, przy każdej sposobności wyjścia na korytarz, niedopałki. W braku prawdziwego tytoniu palono liście z cebuli, a nawet skrobane drzewo. Ponieważ więźniowie nie mieli oczywiście żadnych zapalek ani zapalniczek, które zostały im odebrane, przeto przy zapalaniu posługiwano się hubką ze spalonych szmat, a iskrę wykrzesywano kawałkiem szkła z kamienia, który za drogą opłatą czasami nabywano u więźniów z celi robotniczej. Ci pracownicy, wzamian za udzielane produkty, żądali odzieży w takim na przykład stosunku, że za całe ubranie dawano kilka porcji chleba, za buty kilka papierosów. Więżniom na celi nie wolno było poza gar-



derobą i grzebieniem nie posiadać. Zakazane było w szczególności posiadanie noża, ołówka i wszelkich rzeczy szklanych. Zamiast noży ostrzyliśmy łyżki na kamieniu, lub na betonie przy piecu; łyżki te, wobec ich wyostrzenia, czasami nam też zabierano. Ponieważ nie wolno było mieć na celi żadnych flaszek, przeto jeśli ktoś w ambulatorium lekarskim otrzymał lekarstwo, to wlewano mu je do miski, mimo że miał je na przykład trzy razy dziennie zażywać. -----  
O ile chodzi o pomoc lekarską, to ta, w granicach sumienności lekarzy była nawet dość wydatna. Wiele wdzięczności okazywali wszyscy więźniowie dla więźnia dra Garbienia, który niejednokrotnie z narażeniem się szedł więźniom w każdym kierunku na rękę. Wręcz odmiennym okazał się dr Nadolski z Warszawy. Więźniowie chętnie chodzili do lekarza, ponieważ poza pomocą lekarską można tam było czasami dostać kawałek chleba, a nadto była to jedyna możliwość zasięgnięcia dla całej celi wiadomości z zewnątrz. Każda więc cela starała się w każdym dniu badać kogoś do lekarza wysyłać, mimo tego, że na celi nawet wszyscy byli zdrowi. Władze więzienne oczywiście sprzeciwiały się temu i starały się tych zdrowych, którzy niepotrzebnie szli do lekarzy, wyłapywać. Jedynie dr Nadolski ze specjalną gorliwością wskazywał tych, którzy niepotrzebnie się zgłaszali, następnie robiono im kółka kredą na plecach i potem na korytarzu wymierzano odpowiednią ilość pałek. O ile chodzi o bicie w samym więzieniu, to zdarzało się ono na każdym kroku. Jakkolwiek więźniowie starali się niczym nie narażać, to jednak ciągle na korytarzach rozbrzmiewały jęki bitych i katowanych. Specjalnie zaznaczyło się to w okresie, kiedy do więzienia przybyli w większej ilości Żydzi. Początkowo mieli oni swoją celę w suterenach, potem zaś umieszczano ich w różnych celach na piętrach, a nawet przez pewien czas do każdej prawie celi aryjskiej dawano jednego Żyda. Żyd ten, w czasie speli i każdorazowego stawania na baczność, stał osobno, sam, dla odróżnienia od innych. Strażnicy, wchodząc do celi, zawsze się nimi specjalnie zajmowali, nigdy prawie nie odchodząc bez odpowiedniego po-



bicia ich. W tym czasie, kiedy ilość żydów w więzieniu była większa urządzano im specjalne "ćwiczenia" i tak np. kazano im z ciężkimi kamieniami w ręku biegać po podwórzu, lub też, wkładając większe kawały drzewa w wyprostowane z tyłu ręce, stać dłuższy czas w pozycji niezgiętej. Było to oczywiście specjalną torturą i większość z nich po niedługim czasie padała ze zmęczenia. Wtedy oczywiście kołki i laski były w robocie. -----

Koło połowy czerwca 1942 r. przyżyli więźniowie specjalną sensację. W godzinach wieczornych, gdy już wszyscy pokładli się spać, posłyszeliśmy przez otwarte okna jakiś wzmożony ruch na dziedzińcu, i głosy niemieckie: "Komm, komm, schneller". Wnet później rozpoczęła się, kilkanaście minut trwająca, strzelanina, a gdy ta ustała, doszło do naszych uszu z dołu: "Frauen Zimmer". Byliśmy wówczas przekonani, że po prostu celę za całą wyprowadzają do rozstrzelania. Następnego dnia przez szparę okienną zobaczyliśmy na dole szereg leżących zwłok, które w południe wywieziono. Jak się następnie okazało, było to "dziesiątkowanie" celi transportowej, tzn. więźniów, przeznaczonych na wywóz do Oświęcimia, z tego powodu, że zauważono naruszoną kratę okienną. Podobno zapytano wówczas na tej celi, który z więźniów zna język niemiecki i wszystkich tych, którzy się zgłosili, rozstrzelano. Zostało wówczas rozstrzelanych kilkanaście osób. -----

W połowie roku 1942 wzmogła się pomce żywnościowa patronatu więziennego, tak że prócz racji wyżej opisanych dostawaliśmy jeszcze czasami, w sobotę, poza naszą normalną porcją chleba, "kanapki", tzn. kawałki chleba z różnymi dodatkami, a nadto nawet czasami owoce. W poniedziałki, zamiast chleba więziennego, otrzymywaliśmy też chleb z patronatu, przekrawiany na pół z dodatkami sera, oraz ewentualnie inne dodatki. -----

Z początkiem sierpnia dostałem się na celę robotniczą na pierwszym piętrze. Zaczęło mi się wtedy znacznie lepiej powodzić, bo przede wszystkim miałem możliwość stałego wysyłania zapotrzebowań do rodziny



a więc i otrzymywania paczek, a nadto wolno nam już było swobodnie palić, czytać książki, których pewna ilość z dawnej biblioteki więziennej była do naszej dyspozycji, grać w karty, a przede wszystkim poruszać się swobodnie po korytarzu. Praca nie była zbyt ciężka, bo do obowiązków naszych należało jedynie codzienne zmywanie korytarza i ustępów, przetarcie okien i starcie kurzu, a ponadto trzy razy dziennie rozniesienie jedzenia. To jedno wymagało pewnego wysiłku, ponieważ konewka pojedyncza z jedzeniem ważyła 35 kg, a nosiło się zawsze po dwie. -----

W połowie września kilku spośród robotników zostało zabranych na miasto, do zwożenia węgla, do garaży SS-mańskich. Pracowaliśmy cały dzień przy ul. Nowowiejskiej, przy czym pracowaliśmy dosyć spokojnie, a pilnowano nas niezbyt ostro, tak że przechodzący ulicą ludzie mieli możliwość poinformować nasze rodziny o tym i niektórzy uzyskali w ten sposób nielegalne widzenia. Pani, która zawiadomiła o tym moją żonę, spóźniła się, tak że żona moja, przyszedłszy na miejsce, już mnie nie zastała. W czasie tej pracy uderzyłem się żelazną tarczą w nogę i zranilem, co spowodowało następnie miejscowe zakażenie. Po dwóch dniach, na zarządzenie lekarza, musiałem pozostać w łóżku na celi. Był wprowadzany w więzieniu pokój chorych, ale ponieważ był stale zajęty i z góry ustalano kolejkę, kto się do niego dostanie dla wypoczynku, w nagłych wypadkach chorobowych, chory musiał pozostać na celi. W czasie tej choroby wywołano mnie z celi na transport do Cświęcimia. Zabrano nas natychmiast kilkudziesięciu do celi transportowej w suterynach. Następnego dnia poszliśmy do dezynfekcji i strzyżenia, przy czym wszystkie nasze rzeczy zostały wydezynfekowane w bębnie parowym. Trzeciego dnia, wczesnym rankiem, wydano nam depozyty, z wyjątkiem pieniędzy i depozytów cennych, kazano nam wszystkie rzeczy poza ubraniem /które mieliśmy na sobie/ spakować, celem odesłania ich do domu, sami zaś zostaliśmy wyprowadzeni na dziedziniec, celem załadowania nas do aut. Mimo usilnych nalegań, nie zdołałem już dostać się do lekarza, aby zmienić opatrunek. Transport



liczył około 70 ludzi, w czym mniej więcej 20 kobiet. Załadowano nas do dwóch aut, to jest do jednego autobusu osobowego, w którym umieszczono przede wszystkim kobiety i część mężczyzn, resztę zaś do auta towerowego, w którym i ja się znalazłem. X Tak przywieziono nas do Oświęcimia. -----

Po przybyciu do Oświęcimia, zatrzymaliśmy się poza samym obozem, gdzie odłączono od nas kobiety, nas zaś samych, po jakiejś godzinie, t.j. już koło południa, wprowadzono do obozu. Właśnie ćwiczyła orkiestra obozowa na bloku 24-tym, koło którego przechodziliśmy. Tam też przez okno zobaczyłem pierwszą znajomą mi twarz, muzyka, Adama Kopycińskiego. Następnie zaprowadzono nas przed blok "Effektenkammer", gdzie staliśmy około godziny, po czym zamknięto nas wszystkich w ustępie. Tam przebywaliśmy kilka godzin. Wieczorem wypuszczono nas z powrotem na dziedziniec, kazano się nam wszystkim do naga rozebrać, pozwalając zabrać ze sobą jedynie chusteczkę i szczoteczkę do zębów. Następnie odbyło się dokładne golenie i strzyżenie, po czym każdy wkładał swoje rzeczy do otrzymanego worka, do którego wrzucał jedną z trzech, otrzymanych przedtem, kartek z numerami. Następnie wykąpano nas, po czym dostaliśmy bieliznę i w tej, boso jeszcze i bez ubrań, rozdzielono nas po blokach. Jedenastu z nas przydzielono na blok 8a. Tam przy rozdawaniu butów, gdy prosiłem, aby mi dano trochę większe, gdyż tych drewniaków, które mi rzucono, nie mogłem ubrać, otrzymałem pierwsze uderzenie. Musiałem tedy na tych ciasnych butach poprzestać. Dano nam również drelichowe ubranie, w rozpaczliwym zresztą stanie, i czapkę. W dniu tym nie otrzymaliśmy do jedzenia. Następnego dnia odbyło się fotografowanie nas, badanie lekarskie i rejestracja w "Politische Abteilung". Przy badaniu lekarskim zetknąłem się z moim przyjacielem, sędzią śledczym w Krakowie, drem Adamem Zacharskim. Na bloku, w którym zostałem umieszczony, panował względny porządek, tak że byliśmy tym nawet zaskoczeni. Każdy pierwszego już dnia otrzymał dość porządne łóżko /w łóżkach trzypiętrowych/. Na każdym łóżku było po dwa kocy. Rano otrzymaliśmy już swoje porcje żywnościowe, a to na razie tylko



czarną kawę, gdyż chleb rozdawano wieczorem. W okresie tym nowo napływający więźniowie nie odbywali żadnej kwarantanny, lecz natychmiast po załatwieniu formalności rejestrowych, przeznaczani byli do pracy. Trzeciego też dnia, zaraz po apelu, całą grupę, przybyłą w ostatnich dniach, a to prócz nas jeszcze transport warszawski i miechowski, bez zapytania się o zawody i kwalifikacje skierowano do wyładowywania ziemniaków tzw. "Kartoffelabladen Kommando". Przed wymarszem zapytano, kto zna język niemiecki. Zgłosiło się nas około 20-tu. Nie zdawałem sobie początkowo sprawy co to ma oznaczać. Następnie wyruszyliśmy na miejsce pracy, odległe o jakieś 2 klm od obozu na tzw. "rampe". Stało tam już kilkanaście wagonów ziemniaków, które więźniowie mieli wyładować i zakopcować. Podzielono wszystkich więźniów na dwie grupy, z których jednej dla odróżnienia się kazano zdjąć marynarki. Nas tzn. tych, którzy znali język niemiecki oddzielono na bok, wraz z innymi podobnymi z dni poprzednich, kazano każdemu wziąć do ręki pałkę, lub kawałek drąga i ustawiono z nas szpalery, nakładając na nas obowiązek popędzania więźniów, noszących "tragi". Nosze te były różnej wielkości, niektóre nawet tak wielkie, że można w nich było pomieścić 150 kg ziemniaków. Rozpoczęła się po chwili straszna praca. Przy wagonach widłami napełniano tragi - następnie zaś więźniowie musieli biegiem zanosić je na miejsce, kapowie zaś i "vorarbeitrzy", w większości Niemcy, w niemiłosierny sposób popędzali, nie szczędząc bicia. Ustawieni w szpalerze poganiacze, też częściowo sumiennie /!!/ spełniali swoje obowiązki. Ponieważ ja do tego się nie nadawałem, przeto już tam zostałem kilka razy dotkliwie uderzony, wobec czego porzuciłem to miejsce i ustawiłem się przy wagonie, na który zawsze zwracano mniejszą uwagę. I tam jednak zostałem następnie silnie pobity przez Scharführera Schefflera za to, że nie biłem innych. Po kilku godzinach więźniowie byli już tak pracą zmęczeni, że po prostu tragi wypadały im z krwawiących rąk, a sami, zwłaszcza starsi, niejednokrotnie padali. Takiego osłabionego uważano za odmawiającego pracy ~~ix i se~~



i zachęcano go do dalszej takim biciem, że po chwili zwłoki wyrzucono do pobliskiego dołu. Niektórzy starali się ukryć w dziurach pod drewnianą rampą, to jednak zostało zauważone i zaczęły się poszukiwania za nimi i wymierzanie znalezionym kary. Po raz pierwszy spotkałem się tam z dość specjalnym sposobem bicia. Więźniowi kazano się nachylić, następnie zaś oprawca w postaci kapo, lub jego pomocnik z całej siły i z rozmachem uderzał go nogą od obozowego krzesła, o średnicy może 6 cm, w kark, co wywoływało ten skutek, że delikwent natychmiast padał, potem zaś uzupełniano egzekucję biciem leżącego i kopaniem, tak że po chwili "gotowe" już zwłoki wyrzucano do wyżej wspomnianego rowu. Więźniowie wpadali po prostu w szal ze zmęczenia i widoku tortur, a zdarzały się często wypadki, że ścigani uciekali przed razami wprost na łańcuch strażników /Postenkette/ i w ten sposób na oczach ginęli od kuli mundurowego oprawcy. Wiadomo mi jest z opowiadań kolegów, że podobno SS-mann, który wykazał się zabiciem przekraczającego łańcuch strażników więźnia, otrzymywał 3 dni urlopu. Widziałem i taki wypadek, kiedy SS-mann poleciał jakiemuś nowicjuszowi iść wprost przed siebie, a gdy tenże, nie obeznany widocznie zupełnie z sytuacją, wypełnił rozkaz, z chwilą przekroczenia łańcucha został przez tegoż SS-manna zastrzelony. Po wrzuceniu zwłok do rowu zaraz zbiegała się grupa więźniów i ze zwłok ściągano lepszą odzież, tak że zwłoki do wieczora pozostawały już nagie. W przerwie obiadowej otrzymaliśmy przywieziony obiad, po czym rozpoczynała się praca na nowo, jak poprzednio i trwała do wieczora. Ponieważ tego pierwszego dnia wyładowanie wagonów zostało wcześniej ukończone, przeto grupa, która nosiła tragi, została przydzielona do uporządkowania stogów słomy. Ponieważ pracy tej nie było zbyt wiele, przeto robiono sobie po prostu igraszkę. Oprawcy naganiali więźniów do pracy, bijąc niemiłosiernie, mimo że ani dla części pracujących nie było miejsca nawet na poruszenie się przy stogu. Przed ukończeniem pracy, a raczej gdy już ustawialiśmy się w rzędy, zjechał "Fleischwagen" czyli auto,



przeznaczone do zbierania zwłok i na nie załadowano leżące nagie zwłoki. Widziałem na własne oczy, że niektóre ciała jeszcze się poruszały, na co jednak nie zwracano żadnej uwagi, wrzucano na wóz i przyniastano innymi. Jeżeli nie zginął w drodze, to kończył życie w piecu krematorium. Muszę zaznaczyć, że głównie znęcano się wówczas nad więźniami narodowości żydowskiej. W ten sposób pracowałem przez trzy dni. W międzyczasie, za pośrednictwem dra Zacharskiego, skomunikowałem się z moim dawnym kolegą, urzędnikiem Zarządu Miejskiego w Krakowie, Stanisławem Głową, który był Schreiberem na bloku tyfusowym. Tenże wraz z Zacharskim obiecali mi, że zajmą się umieszczeniem mnie w jakimś dobrym komandzie. Czwartego tedy dnia rano wyczytano mój numer, że mam zgłosić się do szpitala. Nie orientowałem się początkowo, że może to być związane z interwencją owych przyjaciół, ale jednak udało mi się po przejściu wszelkich, dręczących zresztą i połączonych z godzinnymi wyczekiwaniem, badań i kąpieli, dostać na blok 19-ty, szpitalny, jako podejrzany o zarażenie tyfusem. Zaznaczam, że formalnościami związanymi z przyjęciem mnie na K.B. mimo tego, że byłem osłkiem zdrowy, byłem tak zmęczony, że naprawdę nie wyobrażałem sobie, jak człowiek prawdziwie chory może to wszystko wytrzymać. Po przyjściu na K.B. umieszczono mnie na izbie, podejrzanych o tyfus. Byłem zadowolony, że miałem możliwość swobodnie sobie poleżeć, nie narażony na apele i inne zewnętrzne szykany. Sztubowym, a zarazem i pielęgniarzem na tej sztubie był znany mi dawniej, jako dziecko jeszcze, chłopiec - Jan Pierzchała, który aresztowany został, mając lat 16-cie. Z podziwem patrzyłem, jak chłopiec ten, z naprawdę niezwykłą po prostu takiemu wiekowi starannością i troskliwością, pielęgnował chorych, którzy, a było ich kilkudziesięciu na izbie, zwracali się do niego z większym zaufaniem, niż do lekarzy. Drugiego dnia przyszedł znaczniejszy napływ chorych, tak że zdrowszych umieszczano, jako drugich, do już zajętych łóżek. W ten sposób znalazłem się wspólnie w łóżku z człowiekiem naprawdę chorym na tyfus plamisty. Na zwróconą uwagę, zapewniono mnie jednak, że mowy o zarażeniu nie



ma, ponieważ tyfusu można nabawić się tylko przez wszy, a chorzy byli przedtem wydezynfekowani. Nadmieniam jeszcze, że na rewir zostałem przyjęty dlatego, ponieważ Głowa miał zamiar zatrudnić mnie następnie na rewirze, co jednak w praktyce możliwe było tylko tą drogą, że jako rekonwalescent miałem w pracy pomagać, po czym dopiero można było przeprowadzić moje wciągnięcie do komanda K.B. Na trzeci dzień jednak ku mojemu zdziwieniu wyrzucono mnie z rewiru i jak się później okazało dlatego, ponieważ zbliżała się w tymże dniu "wybiórka" tzn. sortowanie chorych i wybieranie pewnej części, niezdatnych do uleczenia - do gazu. Ponieważ było to połączone zawsze z niebezpieczeństwem zwłaszcza, że mogło się ujawnić to, że jako zdrowy dostałem się na rewir, przeto Głowa postarał się o wykreślenie mnie z rewiru zanim doszło do wybiórki. Wyszedłszy z K.B. dostałem się na blok nr 8 i następnego już dnia zostałem przydzielony do roboty i tym razem jako rzekomy rekonwalescent przez jeden dzień pracowałem w obozie. Czułem się jeszcze niezdrow na nogę w związku z zakażeniem, o którym już wyżej wspomniałem, ale mimo starań znowu zostałem skierowany do roboty poza obozem. Było to dla mnie tym bardziej męczące, że nie dostałem już tym razem butów, ale po prostu drewniane sandały bez pięt, w których poruszać się było bardzo ciężko. W kilku następnych dniach zmieniałem prawie za każdym razem pracę i tak np. pracowałem przy budowie drogi, przy budowie wodociągów, a nadto jeszcze trzykrotnie powracałem do wyładowywania ziemniaków oraz do kopcowania. Z tego okresu pracy specjalnie utkwił mi w głowie jeden moment, gdy ładując ziemniaki przy magazynach ziemniaczanych, niosąc tragę, szedłem boso, a droga wypadła właśnie po kamieniach przy torze kolejowym i nie można się było szybko poruszać, SS-mann idący za mną szczuł mnie psem, który do krwi obgryzał mi nogi. Później zobaczyłem liczne rany na obydwu udach i łydkach. W międzyczasie znowu za pośrednictwem wyżej wspomnianych przyjaciół rozpocząłem starania o dostanie się do kartoflarni obozowej Zacharski skierował mnie wówczas do nieznanego mi przedtem więźnia Kazimierza Szelesta i ten z całą gorliwością i sumiennością zajął się



wprowadzeniem mnie do tej pracy, którą rzeczywiście rozpocząłem w drugiej połowie października. Zaznaczam, że jak mi z ust wielu kolegów obozowych wiadomo, tenże Szelest bardzo wiele czynił ludziom dobrego i dużo więźniów ma mu wiele do zawdzięczenia. W kartoflarni obozowej pracowałem tylko kilka dni, gdyż po upływie tygodnia wybierali ochotników do kartoflarni SS-mańskiej, spośród których to ochotników tylko 20-tu z nas zostało tam przyjętych. W międzyczasie kilkunastu z kartoflarni zostało zabranych na jeden dzień do pracy przy przenoszeniu mebli w blokach SS-mańskich. Ja się tam również znalazłem. Praca była bardzo ciężka, gdyż trzeba było łóżka nierozkładane i pełne szafy przenosić na przestrzeni kilkuset metrów po budującej się dopiero i bardzo nierównej drodze. Przy tej pracy zetknąłem się po raz pierwszy z więźniarkami, które zajęte były przy budowie drogi. I wówczas zdołałem ze smutkiem zauważyć, że traktowanie kobiet, w dużej części naszych rodaczek, nie było bynajmniej lepsze od mężczyzn. Poza popędzaniem i biciem przy ciężkiej robocie noszenia i ubijania kamieni, specjalnie utkwiły mi epitety, które z ust kierowników, względnie kierowniczek robót padały. Do chwili dostania się do kartoflarni SS-mańskiej przebyłem na bloku 8-mym, który utkwił mi również w pamięci, ze względu na zachowanie się zastępcy blokowego, Polaka, górnika ze Śląska, oraz schreibera, podobno inteligentnego człowieka i oficera, czy też podchorążego W.P. Niestety nazwisk tych nie przypominam sobie. Byli to obaj skończone łotry, którzy na każdym kroku bili i w różny sposób znęcali się nad więźniami, a nadto schreiber ów nie wahał się kraść do spółki ze swym blokowym, niemieckim łotrem. Tak np. w wolny niedzielny dzień uczył nas ów schreiber kłaniania się, czyli poprawnego, na tempo, zdejmowania i wkładania czapek, przy czym gdy mu się coś nie podobało, dla własnej, sadystryznej przyjemności urządzał ćwiczenia karne, biegi itp. Następnie zostałem przeniesiony na blok nr 16 a, gdzie umieszczone było całe komando "SS-Kartoffelschellerei". I ten blok nie cieszył się spa-



ogólną opinią. Sztubowi, po większej części Polacy, dawali się również dotkliwie we znaki. I tu odbywały się częste bicia i różnego rodzaju szykany, które zmierzały w tym wypadku do wyszantażowania z tzw. bogatego komanda korzyści. Schreiberem na tym bloku był niejaki Bogdan Malinowski, syn pułkownika z Modlina. Młodzieniec ten nie ustępował bynajmniej w swych krwawych wyczynach największym oprawcom niemieckim, a bił każdego dla zasady, ponieważ mu to sprawiało przyjemność. Nawet wraz ze swoim blokowym zostali swojego czasu ukarani chłostą przez komendanta lagru za to, że podobno przy wymiarze sprawiedliwości jakiemś Ruskowi połamali kilka żeber. Poza tym w dniu wigilijnym, gdy Niemiec kapowie zorganizowali całkiem sympatycznie wieczór wigilijny, połączony ze śpiewaniem kołęd i zwrócili się następnie do nas Polaków, abyśmy zaśpiewali kilka spośród znanych w świecie polskich kołęd - tenże Malinowski, usłyszawszy pierwsze dźwięki "Bóg się rodzi", przybiegł i zakazał śpiewać, a dopiero na wyraźne oburzenie Niemców oświadczył, że on o tym nic nie chce wiedzieć, ale jeżeli już ma się śpiewać, to po cichu. Równocześnie, w tym samym czasie, wszystkie bloki obozu rozbrzmiewały polskimi kołędami.--- Odnośnie pracy w kartoflarni SS-mańskiej, to nie była ona najgorsza. Stosunki tam panowały możliwe, gdyż pracowała większość Polaków, a poza tym chociaż nieoficjalnie dożywialiśmy się z kuchni SS-mańskiej. Czasami kradliśmy po prostu całe kotły jedzenia i tymi dzieliliśmy się wspólnie. Niektórzy mieli dostęp do mleka, a nawet z magazynu niejednokrotnie zniknęły konserwy, nabiał i w ogóle wszystko, co tylko było do zjedzenia. Władze kuchenne starały się temu wszelkimi sposobami zapobiec i w razie przychwycenia kogoś bezlitośnie karały, co jednak nie miało wielkiego wpływu. Szefem kuchni był SS-mann Paschke, człowiek trochę upośledzony na umyśle, który zwłaszcza pod wpływem alkoholu, a zdarzało się to nader często, wpadał w wariacką furję i znęcał się nad każdym kogo na swej drodze napotkał. Zdarzały się dni że mało było takich, którzy nie zostali pobici. Mimo to jednak praca w tym komandzie mogła uchodzić za znośną. W połowie lutego całe koman



do przeniesione zostało na blok 23-ci, gdzie blokowym i schreiberem byli Polacy, tym razem ludzie na miejscu, a zwłaszcza schreiber Kochuch, rodem z Żywca. Oddziaływało to oczywiście na sztabowych, którzy również zachowywali się w stosunku do nas poprawnie. To była ostatnia moja praca i blok w Oświęcimiu, gdyż w dniu 9. kwietnia 1943 r. wyczytany zostałem na transport. -----

Poza moimi osobistymi przeżyciami, które opisałem, przystąpię teraz do omówienia stosunków, panujących wówczas w Oświęcimiu. Przede wszystkim znalazłem się tam już po generalnej dezynfekcji, która odbyła się w sierpniu 1942 r. i która w zasadzie oczyściła obóz z plagi wszy. Zdarzały się jeszcze wypadki, że znajdowano na blokach wszy, ale było to raczej sporadyczne i wówczas dezynfekowano cały blok. Na blokach panowała względna czystość. Bieliznę zmieniano więźniom mniej więcej co dwa lub trzy tygodnie, a raz na tydzień odbywała się kąpiel. Ta dawała niejednokrotnie podstawę oprawcom do specjalnych udręczeń, gdyż bez względu na porę roku z niektórych bloków wypędzano więźniów nago i tak też po gorącej kąpeli na blok musiano wracać, przy czym też na niektórych blokach zakazywano brania ze sobą ręcznika. Po kąpeli ustawiano pod łaźnią wychodzących i mokrych jeszcze więźniów, zbierano i liczono ich, co trwało czasami znaczną chwilę, w czasie której można się było oczywiście łatwo poważnie przeziębnić. Wielu też uciekało przed kąpielą. W grudniu 1942 r. odbyła się znowu generalna dezynfekcja, w czasie której odebrano więźniom do odparowania na dwa lub trzy dni ich własne ubrania obozowe, dając tymczasem tylko bieliznę i drelachowe ubrania. Oczywiście, że znajdowanie się w tym odzieniu w grudniu na dworze było bardzo przykre. W ogóle kwestia zimna była specjalnie dla więźniów przykra, gdyż przede wszystkim bardzo późno otrzymywało się swetry, skarpety i płaszcze, a następnie bardzo w czas je odbierali, to też przede wszystkim ranne apele dawały się specjalnie we znaki, a to tym bardziej, że bezpośrednio po pobudce po szybkim ubraniu się i "zrobieniu" łóżek, oraz zjedzeniu śniadania, wyrzucano wszystkich



bez względu na pogodę na pole, mimo że do apelu pozostawała czasami jeszcze blisko godzina czasu. Kryli się tedy więźniowie po sieniach i piwnicach, ale i stamtąd ich wyrzucano. Płaszcze odebrano nam już 1-ego marca. Nie więc dziwnego, że więźniowie próbowali zastępować odzież papierem, szyje owijali ręcznikami, lub jakimikolwiek dostępnymi szmatami, ubierali podwójną bieliznę itp., co jednak było wszystko zakazane i w czasie rewizji wszystkie te rzeczy zabierano, a prócz tego więzień, u którego coś znaleziono podlegał surowym karom i był niemiłosiernie bity. Rewizje w ogóle były plagą więźniów. Odbываły się na każdym kroku, tak w ich szafkach, w łózkach, w których w ogóle nie wolno było trzymać, jak i rewizje osobiste. Więzień mógł w zasadzie mieć przy sobie jedynie chusteczkę. Szczyrówki, chociaż sprzedawano je nawet w kantynie, były w zasadzie zakazane i mogły ulegać konfiskacie. Nie było ich wolno w każdym razie nosić do pracy, jak również nie wolno było nosić "palenia", zapalek i zapalniczek. Każdy więzień miał prawo korzystać z szafki, odpowiadał jednak za jej czystość. Jeżeli zdecydował się na korzystanie z szafki, musiał na niej napisać swój numer i nazwisko. Z uwagi jednak na znaczną sposobność do szynkany w związku z szafkami, większość więźniów wolała z tego zrezygnować, gdyż nasi przełożeni doszukiwali się wszelkich pretekstów, że w szafce jest nieporządek. Żądano np., ażeby półki wyłożone były szklaną szybą i ozdobione serwetkami. Trzeba się więc było prywatnie u szklarzy starać o kradzione szkło i płacić za nie chlebem lub margaryną, oraz kupować w tenże sam sposób "zorganizowane" serwetki, których w kantynie już nie można było dostać. Drugim przedmiotem szynkan było "robienie" łóżek. W zależności od bloku zwracano na nie mniejszą lub większą uwagę. Bezwzględnie wszędzie musiały być ścielone prawidłowo, gdzie niegdzie jednak dochodziło to po prostu do przesady. Bardzo często mimo że łóżko było zupełnie dobrze "zrobione", dopatrywali się nasi przełożeni niedbalstwa i wymierzali za to karę. Nie sposób było cały czas łóżko pilnować skoro się szło do pracy. Twierdzenie więc, że łóżko było źle zrobione - zawsze mogło okazać się



wiarogodne. Trzy razy odbywałem "sport" czyli karne ćwiczenia za budowę łóżek, mimo że np. na bloku 23-cim blokowy stawiał moje łóżko za wzór. -----

Plagą obozu był blok 11-ty, tzw. kwarantanny. Oddzielony od innych murem, pozbawiony okien ze strony zewnętrznej, mieścił w sobie również bunkry, czyli więzienie obozowe. O ile chodzi o te bunkry, dzieliły się one według rodzaju kar i tak np. - małe komórki, pozbawione światła i dostępu powietrza, bardzo niskie, przeznaczone były na odbywanie nocnej kary, stojącej. Skazany na ten tzw. "stehen-bunker", w ciągu dnia odbywał normalną pracę, na noc zaś szedł do owej komórki, gdzie zamykano ich po kilku, tak że całą noc nie mogli się po prostu poruszyć i musieli przebywać w pozycji zgiętej, gdyż jak wspominałem, komórki te były tak niskie, że mężczyzna średniego wzrostu nie mógł w nich normalnie stanąć. Poza tym na tenże blok 11-ty zabierano wszystkich, których numery odczytywano przy rannych apelach i tam odbywało się ich trącenie. Wyczytywania te zdarzały się w tym czasie przeciętnie dwa razy tygodniowo, a ilość wyczytywanych numerów bywała różna. W pamiętnym dniu 28-go października 1942 r. wyczytano około 280 numerów i wszyscy oni zostali natychmiast straceni. Egzekucji dokonywał, jak mi opowiadano, "upiór Lagru" hauptscharführer Palitsch, posługując się przy tym sprężynowym pistoletem. Odnośnie likwidacji chorych tzn. tych, co do których nie było szans odzyskania przez nich w pełni sił do pracy, wywożono ich autami do Birkenau i tam prawdopodobnie byli truci gazem. Wybierano ich po większej części z K.B., czyli ze szpitala, przede wszystkim spośród rekonwalescentów, ponadto jednak zdarzały się wypadki, że zabierano wszystkich, którzy nie udali się do pracy i pozostawali w obozie. Podobno i niektóre całe komanda były poddawane selekcjom. Śmiertelność w obozie poza wypadkami rozstrzeliwań i gazowań była znaczna, co można było codziennie obserwować, gdyż każdego dnia wieczorem wywożono zwłoki z obozu na dużym wozie drabiniastym, zakrytym celtową płachtą. Pogrzeb ten ciągniony przez więźniów był codziennym widokiem



obozowym, a dźwięk specjalnie skrzypiących kół tego wozu nie zniknie napewno nigdy z pamięci więźniów.-----

Wszyscy więźniowie chodzili w specjalnych ubraniach w pasy białoniebieskie. Na głowie noszono czapki bez daszków o tym samym kolorze, kapowie zaś i inni zwierzchnicy używali czapek czarnych. Każdy więzień nosił na piersiach po lewej stronie, oraz po prawej stronie na spodniach, na białej szmatce wydrukowany czarną barwą numer, oraz trójkąt kolorowy, oznaczony literą narodowości. Więźniowie polityczni nosili trójkąty czerwone, kolor zielony oznaczał przestępców kryminalnych, a nadto tych wszystkich, którzy na całym terenie Rzeszy zostali skazani wyrokiem sądowym. Tak tedy nawet ideowi więźniowie polityczni, którzy np. na Pomorzu otrzymali wyroki sądowe za udział w organizacjach podziemnych wolnościowych, nosili również zielone trójkąty, a jeżeli, co dość często się zdarzało, karę odcierpieć miał dopiero po ukończeniu wojny, trójkąt skierowany był jednym kątem do góry. Kolorem różowym oznaczano przestępców przeciwko moralności, kolorem lila - badaczy Pisma św. Nadto istniał jeszcze kolor czarny, którym oznaczano więźniów, umieszczonych w obozie za "sabotaż" pracy. Żydzi oznaczani byli gwiazdami, składającymi się z trójkątów - jednego żółtego, a drugiego w zależności od przyczyny umieszczenia. W praktyce jednak widziało się jednak gwiazdy żółto-czerwone. Ponadto więźniowie, podejrzani o zamiar ucieczki, nosili na piersiach koło numeru oraz na plecach na białym tle czerwone kółka. Wszyscy zwierzchnicy obozowi oznaczani byli opaskami na lewym ramieniu, wypisanymi czarną farbą na żółtym materiale, z wyjątkiem "lagerälteste" który na czarnym materiale wypisane miał L.Ä. Również blokowi nosili opaski czarne z napisem białym numeru bloku. Pracownicy szpitalni, lekarze, oraz pracownicy kuchenni nosili ubrania białe, z pasami czerwonymi na plecach, oraz lampasami w tym samym kolorze. Z początkiem 1943 r. zaczęto więźniom pracującym w komandach w pobliżu obozu dawać ubrania cywilne, z namalowanymi na plecach wyraźną farbą pasami, oraz z pasami na spodniach. -----



O ile chodzi o organizację obozu, to władza zwierzchnia spoczywała oczywiście w rękach SS. Poza tym więźniowie posiadali w pewnym stopniu samorząd. Na czele samorządu stał Legerältester. Na czele każdego bloku stał blokowy, z przydanym mu czasami do pomocy zastępcą, oraz schreiberem. Ponadto każdą izbę miała swojego sztabowego, którego obowiązkiem było pilnowanie porządku na izbie, oraz rozdawanie jedzenia. Kierownikami grup pracy byli kapowie. Przy każdej grupie był schreiber, do którego obowiązków należało prowadzenie ewidencji pracujących, oraz wszystkie sprawy pisarskie, związane z wykonywaną pracą. Każda grupa pracy rozpadała się na mniejsze oddziały, na czele których stali vorarbeiterzy. Niezależnie od powyższych w głównym biurze obozu czyli w tzw. lagerschreibsztabie pracowali również więźniowie. Poza tym było jeszcze szereg innych funkcjonariuszy, jak np. odźwierny, lauffer, lagercapo, czyli policja lagrowa. Poza tym na każdym bloku był fryzjer, który poza funkcjami ściśle związanymi z jego fachem, żadnej innej pracy nie wykonywał. Bardzo ważnym w praktyce funkcjonariuszem był ustępowy. -----

W obozie była zorganizowana kantyna, w której więźniowie mogli nabywać prawie bez ograniczenia tytoń i papierosy, prawie codziennie uzupełniać przedmioty pisarskie, oraz artykuły toaletowe. Czasami zdarzały się też inne artykuły spożywcze jak np. coś w rodzaju wina, lemoniada, woda mineralna, syrop jadalny, a czasami również sałatka jarzynowa i ślimaki. Więźniowie płacili za te artykuły pieniędzmi, nadsyłanymi im z domu, które wypłacano każdemu po 30, lub 40 marek miesięcznie, w bonach odcinkowych. Później, mimo że więźniowie nadal na swoje konto pieniądze otrzymywali, zaprzestano wypłaty, a jedynie otrzymywali drobne kwoty w postaci premii za pracę. O ile chodzi o palenie, wolno było palić jedynie poza czasem pracy i to tylko w obozie, na polu, tak że przyłapany na paleniu w czasie pracy, lub na bloku, ulegał bardzo surowym karom, które niejednokrotnie nawet kończyły się śmiercią więźnia. Np. adwokat Woźniakowski za palenie na izbie został tak pobity przez blokowego, że doznał złamania ręki. Jakkolwiek



wolno było palić w czasie przerwy obiadowej, to jednak było zakazane posiadanie przy sobie "palenia" i w razie znalezienia takiego przy rewizji na bramie, więzień również ulegał karze. -----

Od połowy listopada 1942 zostały dozwolone paczki żywnościowe, które więźniowie mogli otrzymywać z domu. Pierwsze zarządzenie brzmiało jednak tak dziwnie i niezrozumiale, że nie wiadomo właściwie było co można było otrzymywać, mianowicie: "Więzień może otrzymywać paczki żywnościowe nie przekraczające żywnościowej racji dziennej więźnia". W praktyce jednak w zasadzie przyjmowano paczki wszystkie i według nakazu komendanta miały być doręczane w całości. Zaraz jednak na wstępie, przy pierwszych przesyłkach, zaczęła się masowa kradzież paczek, przez funkcjonariuszy poczty i SS-mannów. Trzeba obiektywnie przyznać, że komendant obozu, dowiedziawszy się o tym, wszczął energiczne dochodzenia, które ukończyły się rozstrzelaniem szeregu więźniów i ukaraniem winnych SS-mannów, po czym w obozie oświęcimskim zaczęło się doręczanie paczek zupełnie prawidłowo.- Konfiskowano jedynie papierosy i tytoń monopolowy, z uwagi na przepisy monopolowe, przy czym więzień, któremu np. papierosy skonfiskowano dostawał do podpisu zawiadomienie o konfiskacie. -----

W dniu 9-ego kwietnia 1943 r. zostałem wraz ze znaczną liczbą kolegów wywołany na transport. W nocy wyprowadzono nas wszystkich blokami na ulicę obozową, po czym kolejno udawaliśmy się na jeden z przeznaczonych do tego bloków, gdzie zabierano nam dosłownie wszystko tzn. nawet odzież, następnie zaś nago szliśmy do łaźni, gdzie po wykąpaniu nas otrzymaliśmy zupełnie nową bieliznę oraz ubranie. Następnie umieszczono nas wszystkich na bloku 13-tym, skąd po dwóch dniach wyszliśmy na transport. W międzyczasie przechodziliśmy dokładne badanie lekarskie, w czasie którego więźniowie niezdrowi, lub o jakichkolwiek ułomnościach fizycznych zostawali odrzucony. Ostatniego dnia nawet jeszcze zatrzymano na miejscu kilkudziesięciu fachowców, tak że w transporcie zostało 1250 osób. Dotychczas zupełnie nie nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy. Na drogę dano nam jeden i 1/3



bochenka chleba, 1/3 kostki margaryny i 70 dkg kielbasy. Następnie załadowano nas na wagony, po 45 do jednego, przy czym do każdego wagonu dano po 10-litrowym słoju kawy. Pozamykano okna i drzwi wagonu, tak że nie mieliśmy żadnej komunikacji z zewnątrz. Zaznaczam, że do wagonu nie wstawiono żadnego kubła. Następnego dnia w godzinach po południowych posłyszeliśmy, po zatrzymaniu się pociągu, wołanie: "Mauthausen". Zrobiło to na nas ogromnie przygnębiające wrażenie, gdyż obóz ten miał opinię znacznie cięższego od Oświęcimia. Zaraz po wyładowaniu ulegliśmy jeszcze większej depresji, dowiedziawszy się, że przeznaczeni jesteśmy do filiali Mauthausen - Gusen. Nie wspominałem jeszcze, że na drogę otrzymaliśmy tylko drewniane sandały bez pięt. Po wyładowaniu, ustawieniu i obliczeniu nas, co trwało około 2 godzin, otoczeni kordonem postów, ruszyliśmy w drogę. Zaraz na wstępie zetknęliśmy się ze strony postów ze znacznie okrutniejszym niż dotąd traktowaniem. Iść w sandałach było bardzo ciężko, to też ludzie szli dość powoli i pozostawali z tyłu. Rozpoczęło się więc poganianie kolbami. Prowadzono nas przeszło dwie godziny, nie szczędząc w czasie drogi szturchanców i kijów. Wreszcie pod wieczór przybyliśmy do obozu, gdzie ustawiono nas na placu apelowym. Obóz ten zrobił na nas ogromnie przykre wrażenie. Więźniowie obdarci, o bardzo marnym wyglądzie fizycznym, bardzo odbiegali zewnętrznie nawet od więźniów oświęcimskich. Najprzykrzejsze wrażenie uczyniły na nas typy przełożonych obozowych, których wygląd wskazywał na zawodowych przestępców. Wszyscy zresztą posiadali zielone winkle, a z rąk nie wypuszczali ani na chwilę batów i pałek. Po dwugodzinnym postoju na placu apelowym, po zarejestrowaniu nas i przydzieleniu nam nowych numerów, zaprowadzono nas na mniejszy dziedziniec między dwoma blokami, gdzie kazano rozebrać się do naga, a następnie nagich przepędzono na blok. Zaznaczam, że nie pozostawiono nam nawet chusteczki, ani szczołeczki do zębów. W Gusen otrzymałem numer 12910. Noc spędziliśmy nago po dwu lub trzech na łózkach, przy czym część musiała się położyć na ziemi. Nieliczne koce w okropnym zresztą stanie otrzy-



mali jako podkładkę ci, co spali na podłodze, reszta spędziła noc nago, bez koców. Wieczorem otrzymaliśmy tylko odrobinę kawy, z której mogło kilku zaledwie skorzystać. Następnego dnia, a raczej jeszcze w nocy, około godz. 3.30 obudzono nas i wypędzono z bloku na pole. Tam nago przebyliśmy cały apel, tzn. przestaliśmy ze dwie godziny, po czym dopiero wróciliśmy na blok, gdzie dano nam pierwsze jedzenie w postaci 1/2 litra zupy na dwóch. Po owym apelu bez ubrań następnego dnia dwudziestu sześciu zachorowało na zapalenie płuc. W godzinach rannych odprowadzono nas do kąpieli, po czym rozdano nam bieliznę. Właściwie nie była to bielizna, ale poszczególnie kawałki łachmanów, gdyż nikt nie mógł skompletować z tego całych kalesonów i koszuli. Podobnie przedstawiały się również po chwili rozdane ubrania. W obozie tym właściwe pasiaki były w zasadzie rzadkością. Każdy więzień był inaczej ubrany w jakieś stare wojskowe łachmany. Spodnie np. bywały granatowe zeigowe, czerwone, brązowe; marynarki były również w różnych kolorach i różnego kroju. Żadne z tych ubrań nie było w możliwym do noszenia stanie. Dużo ubrań było pochodzenia sowieckiego, z napisami na plecach S.U. Oczywiście wszystko odpowiednio zaopatrzone w wymalowane kolorowe pasy. Na nogi otrzymaliśmy pantofle holenderskie, całe z drzewa, przy czym oczywiście nikomu nie pozwolono wybierać, tylko każdy otrzymywał kolejno stojącą parę. Następnie zaprowadzono nas na inne bloki, a mianowicie blok nr 15-ty i 16-ty. Ja dostałem się na blok nr 16. Jako służba blokowa był tylko blokowy Niemiec, imieniem Michael, oraz schreiber, Polak, nazwiskiem Poliński z Kalisza. Ponadto był jeszcze fryzjer Hiszpan. Umieszczono nas na tzw. kwarantannie, tzn. - że bloki te były drutem kolczastym oddzielone od reszty obozu i komunikacja była zupełnie odcięta, tak że przełożeni blokowi również nie wychodzili z tej części obozu, ani na nasze bloki nikt z zewnątrz nie przybywał. Jedzenie dowożono do bramy tej grupy bloków, gdzie również odstawiano próżne kotły. Bloki były zupełnie inaczej urządzone niż w Oświęcimiu.



miu. Były to bloki drewniane, parterowe, bardzo duże, tak że pomieściły każdy po 600 ludzi. Umywalnia i ustępy były w szopach odłączonych od bloku. Sten naszego bloku, kiedyśmy do niego przybyli był okropny. Podłogi porozbijane i zabrudzone, łóżka połamane, pozbawione desek do podtrzymywania sienników, sienniki brudne i z zabrudzoną słomą, a poza tym wiele łóżek w ogóle pozbawionych było sienników. Koców również było bardzo mało, spaliśmy więc w ten sposób, że na dolnych łóżkach spało po trzech, zaś na środkowych i górnych po dwóch. Jedzenie cośkolwiek się różniło od oświęcimskiego, gdyż rano dostawaliśmy bardzo rzadką zupę 1/2 litra na dwóch; mały bochenek chleba dzielony był na trzy części. Przez pierwsze dwa miesiące nie wychodziliśmy w ogóle do roboty, w związku z kwarantanną i cały dzień przebywaliśmy na dziedzińcu przed blokiem. Do bloku, bez względu na pogodę, nie wolno było w ciągu dnia wchodzić. Dotkliwie więc dawało się nam we znaki zimno, gdyż pogoda tej wiosny była fatalna. Padały częste deszcze i naogół było zupełnie zimno. Radziliśmy sobie w ten sposób, że zbijaliśmy się grupami, liczącymi czasami nawet około stu osób, aby się w ten sposób ochronić od zimna. Jedzenie otrzymywaliśmy również na polu bez względu na pogodę. Kwarantanna miała w zasadzie trwać 3 tygodnie, ale ponieważ pojawiły się wypadki tyfusu, przeto przedłużano ją dwukrotnie. Ponieważ nie mogliśmy kwarantanny opuszczać przeto dla czterech kwarantannowych bloków otwarto dwa małe szpitaliki które obsługiwały całą kwarantannę. Na każdym leżało około 50 chorych. Śmiertelność była dość znaczna i codziennie zdarzały się wypadki śmierci. Ponieważ nie było żadnej trupiarni, więc zwłoki zmarłych, do chwili zabrania ich do krematorium, leżały w umywalniach. Jak już wyżej wspomniałem, zarząd obozu w Gusen spoczywał w rękach "zielonych" Niemców, tzn. przestępców kryminalnych. Ponieważ był to obóz dla najcięższych kryminalistów niemieckich, przeto typy, z którymi się tam spotykaliśmy były wyrafinowanymi zbrodniarzami i nadawały ton całemu obozowi. Jakkolwiek sztabowi byli wybrani spośród Polaków, przebywających



na kwarantannie, to jednak bandyci wybierali sobie odpowiednie jednostki na te stanowiska. Postępowanie z nami było po prostu straszne. Starano się w ogóle o to, aby uprzykrzyć więźniom każdą chwilę. Mimo, że bloki kwarantannowe były oddzielone od reszty obozu, nie wolno było pod żadnym pozorem komunikować się między blokami. Przestrzeń dziedzińca, na którym cały dzień musieliśmy przebywać była bardzo mała, tak że mowy o tym nie było, aby sześciuset ludzi mogło np. usiąść. O żadnych ławkach oczywiście nie było mowy. Przy blokach, a raczej wzdłuż całych bloków, były wąskie "mankiety", otoczone kamieniami, które z natury rzeczy zwężały przestrzeń, po której mogliśmy się poruszać. Blokowi zarządzili urządzenie tam ogródków, przy czym siadanie na kamieniach krawężnikowych uchodziło za ogromne przestępstwo. Jeżeli kogoś na tym przyłapano, znęcano się nad nim bezlitośnie. W ogóle bito nas przy każdej okazji i z byle jakiego powodu. Położenie nasze pogarszała kwestia paczek, które wkrótce po przybyciu zaczęliśmy otrzymywać. Niemcy nie poprzestając na tym, że przy ich wydawaniu wykradali co najmniej dwie trzecie, z zawiścią patrzyli na tych, którzy otrzymywali lepsze paczki i po prostu domagali się okupu. Tak np. wieczorem sztubowy zwraca się do nas, że blokowy pragnie coś wieprzowego, cebuli i słodkiego pieczywa. Ponieważ widocznie ze złożonej zresztą daniny nie był zadowolony, przeto następnego dnia na apelu staliśmy podobno nierówno, łóżka były źle posłane, zarządzono więc "sport", czyli karne ćwiczenia dla całego bloku, trwające aż do apelu południowego, po zjedzeniu zaś obiadu staliśmy w dalszym ciągu na polu aż do wieczora. W międzyczasie dostarczono z obozu dla więźniów kocy i łyżki, których jednak blokowy przez całe tygodnie nie wydawał nam, a uczynił to dopiero na wyraźny nakaz blockführera. Łyżki te jednak znowu po kilku dniach nam odebrano, rzekomo dla oczyszczenia ich, co trwało znowu kilka tygodni. Ponieważ nie wychodziliśmy poza kwarantannę, a więc nie mogliśmy również korzystać z łaźni, przeto urządzano nam dokładne mycie na bloku.



Wyglądało to w ten sposób, że wszystkim na polu kazano rozebrać się do naga, a następnie po kilkunastu wpuszczano do umywalni, gdzie każdy kolejno przechodził pod tuszem, następnie zaś już przy kranach na tempo można było korzystać z mydła, którego pojedynczo nikomu nie dawano, po czym sztabowi zlewali nas wiadrami zimnej wody. Po wyjściu z tej "kąpieli", oczywiście bez wycierania się, bo ręczników nie było, można się już było ubrać. W całości kąpiel taka trwała oczywiście kilka godzin. Ponieważ ubranie było złożone na polu, więc odnajdywanie własnych ubrań przez 600 ludzi napotykało oczywiście na znaczne trudności. Czapki otrzymaliśmy dopiero po kilku tygodniach a i to nie na długo, ponieważ ze zbliżającym się latem, wszystkim je odebrano. Nie tylko zimno, ale później i upał stał się bardzo dotkliwy, ponieważ nigdzie przed słońcem nie można było się skryć, gdyż niskie bloki nie rzucały wiele cienia. Więźniowie bez czapek, przebywając cały dzień na słońcu, dostawali często uderu słonecznego, objawiającego się gorączką i tak znacznym opuchnięciem twarzy i głowy, że w ogóle tracali możliwość patrzenia. Dla celów rzekomo porządkowych nie wolno było na nogi zostawiać butów na izbie, lecz trzeba je było pozostawić na polu. Ubrania musiały być w kostkę złożone pod łóżkiem. Ponieważ nie wolno było pod żadnym pozorem podnosić pod głowę siennika, ani używać ubrania za zagłówek, przeto spanie nawet stawało się bardzo przykre. Po rannej pobudce, którą zresztą blokowy urządzał zawsze co najmniej pół godziny przed gongiem, w związku z wyszukiwaniem własnych ubrań pod łózkami, dochodziło do ciągłych tarć. O znalezieniu własnych butów na polu przy takiej liczbie więźniów, nie mogło po prostu być mowy. Pod koniec maja kwarantanna się skończyła i zaczęła się powolna rekrutacja do pracy. Przyszli jacyś więźniowie z obozu i ci klasyfikowali więźniów z kwarantanny, wedle ich wyglądu zewnętrznego. Następnie spisywano zawody, dzielono więźniów na szereg grup, co w rzeczywistości okazało się jednak bez znaczenia, gdyż później schreiber blokowy, gdy przyszło do zapotrzebowania na odpowiednią liczbę pracowników, wybierał po



prostu ludzi według własnego upodobania. Ci, którzy mieli iść do pracy otrzymywali co najlepsze na bloku ubrania, które ściągano oczywiście pozostającym na bloku. Nigdy więc nie można było być pewnym tego, co się na sobie miało. Przy każdym rannym apelu miało miejsce ściąganie ludziom spodni, czapek, butów itd. Tylko część ludzi w rzeczywistości ochodziła do pracy, gdyż dla wszystkich po prostu jej brakowało. Reszta pozostawała na bloku. W międzyczasie blokowy postanowił poprawić stan bloku i oczywiście zwrócił się z tym do więźniów, przedstawiając, że za wszystko musi płacić dostawcom, że więc każdy musi się składać. Składki ściągane były tak z paczek, któreśmy otrzymywali, jak również z naszych przydziałów kantynowych. Kantyna była tam inaczej zupełnie zorganizowana i nie było w zasadzie otwartej kantyny, w której więźniowie mogli zakupywać towary za otrzymane pieniądze, lecz dwa razy miesięcznie odciągano z kont więźniów pewne kwoty, wzamian za co wydawano jednokowe dla wszystkich towary kantynowe. Najważniejsze były papierosy których liczba za każdym razem wahała się od 30 do 150, a nadto np. paprykę marynowaną, wodę mineralną, sałatę z kapusty i ogórków, proszki do zębów, masło na opalenie, bez względu na to czy te rzeczy były wszystkim potrzebne. Papierosy były specjalne pożądane i z tego powodu każdy wyciągał po nie ręką. Ustalano więc kontyngenty na potrzeby bloku, które rzekomo proponowano więźniom, aby ci dobrowolnie je uchwalali. Oczywiście nie było nigdy żadnego sprzeciwu. Po odciągnięciu kontyngentu np. trzydziestu papierosów na potrzeby bloku, tzn. np. na malowanie łóżek, uzupełnianie desek w łóżkach itp. to co w praktyce zabierał dla siebie blokowy, następnie schreiber ściągał kontyngent na przedmioty pisarskie, wreszcie fryzjer na ostrzenie brzytwy, tak że więzień, otrzymawszy papierosy miał najwyżej połowę tego, co było mu przydzielone, a dalej jeszcze trzeba było coś dać za fatygę sztabowym, ponieważ w przeciwnym wypadku łóżko napewno było źle "zrobione". Codziennie wieczorem, gdy już wszyscy leżeli w łóżkach, wyczytywano numery tych łóżek, które były



65  
źle "zrobione" i wtedy zaczynała się albo zabawa "w pieska", albo też po prostu więzień otrzymywał kilka pałek. Zabawa w "pieska" wyglądała w ten sposób, że na środku stawiano krzesło, dookoła którego więźniowie musieli raczkować, w szybkim tempie, przy czym pobijani byli bezlitośnie pałkami i kopani. Nasz blok ze wszystkich stron otoczony był murem, a nie drutami jak inne, ponieważ dawniej był tam podobno blok egzekucyjny dla więźniów rosyjskich i na nim odbywały się egzekucje, oraz "szprycowania" tzn. zabijania za pomocą wstrzykiwań benzyny. Z jednej strony tylko między łaźnią a blokiem ponad murem mieliśmy widok na kamieniołom Kastenhoffen t.j. najgorsze miejsce pracy dla więźniów. Zdaleka więc mieliśmy możliwość już wówczas przypatrzeć się jak praca tam wyglądała. Obrazki bicia i znęcania się były na porządku dziennym, przy czym praca, jaką wykonywali więźniowie, była ogromnie ciężka. Popychano więc ręcznie lorki, naładowane kamieniami, rozbijano ciężkimi młotami większe kamienie, znoszono kamienie na lorki i przenoszono jakieś paczki z nieznanym mi w tej chwili towarem. O tych paczkach wspominałem dlatego, iż w pamięci mam obraz całego sznura więźniów, niosących pod górę na ramionach owe paki, przy czym co pewien odstęp widać było poganiaczy, bijących więźniów, obciążonych pakami. Widać było, który słabnie i pozostaje z tyłu; niektórzy przewracali się, ale i tych wzmacniano pałkami. Sam miałem możliwość przypatrzeć się temu jeszcze bliżej, pracując w kamieniołomie, na szczęście tylko przez trzy dni. I tak np. jeżeli lorka naładowana kamieniami, wypadła z szyn, co zresztą zdarzało się dość często, więźniowie musieli naładowaną lorkę z powrotem na szynach ustawiać, przy czym w wypadkach takich siepacze specjalnie się znęcali. Praca w kamieniołomie była dla przeciętnego więźnia tak ciężka, że w zasadzie nikt nie był w stanie pracować tam dłużej jak trzy miesiące. Oczywiście, że i tam były łżejsze funkcje, jak np. borerów /wiertaczy/. -----  
W dniu 13 czerwca 1943 r. po apelu południowym, wszystkim kazano udać się na główny plac apelowy, gdzie następnie wyeliminowano spo-



śróǖ więźniów wszystkie narodowości, prócz Polaków. Ponieważ było nas najwięcej, przeto na placu pozostało około 5000 ludzi. Byliśmy ogromnie zaniepokojeni, na co się właściwie zanosi, lecz po chwili już tajemnica się wyjaśniła. Na tablicy okazano numer więźnia Polaka, który zbiegł. Tego dnia aż do wieczora mieliśmy karne ćwiczenia, które rozpoczęły się biegiem dookoła placu apelowego, następnie zaś przysiady i podania. Po wieczornym apelu i otrzymanej na bloku kolacji wróciliśmy na plac apelowy, gdzie staliśmy przez całą noc aż do rana, skąd, po rannym apelu, udaliśmy się bezpośrednio do pracy. Po normalnym przepracowaniu całego dnia, przestaliśmy także drugą noc, tym razem jednak pozwolano nam jednak pół godziny przed ranną pobudką wrócić na bloki. Trzy dni później zwłoki zbiega znalazły się w obozie. Innym razem zbiegł więzień rosyjski i wówczas wszyscy Rosjanie mieli kilkotygodniowe ćwiczenia karne, w czasie poza pracą, a nadto zmniejszono im porcje żywnościowe na czas 4 tygodni - do połowy. Ta kara pozbawiła życia znaczną ilość więźniów. W obozie Gusen ze specjalną niechęcią odnoszono się do inteligentów i na każdym kroku im dokuczano. Poza tym najbardziej prześladowani byli Rosjanie. Wypadki rozprawiania się z nimi bezpośrednio przy użyciu pałek i topieniem w beczce były na porządku dziennym. To topienie w beczce nazywano "lekcją pływania", a wyglądało to po prostu w ten sposób, że do pełnej wody beczki wsadzono więźnia głową. Z początkiem czerwca już po ukończeniu kwarantanny stosunki jeszcze bardziej się popsuły, gdyż do bloku sprowadzili się niemieccy więźniowie - kapowie, którzy objęli poza tym funkcje sztabowych. Pracą na sztabie jednak mało się zajmowali, a jedynie poprzestawali na kontroli i dręczeniu. Tym razem były to największe łotry, jakich zdołałem w obozie spotkać. Ponieważ mój sztabowy zwiędział się, że jestem prawnikiem i "rechtsanwalt" utożsamiał z "staatsanwalt" czyli z prokuratorem, przeto męcząc się widocznie ze wymierzoną mu karą dożywotniego więzienia, specjalnie mnie prześladował. Wystarczy mi tylko powiedzieć, że chodziłem ciągle posiniaczony i zakrwawiony, przy czym wręcz zapowiadano mi, że gdy tylko pójdę



dę do roboty, to się za mną porachują. Na szczęście jednak, dzięki arbeitsdienstowi, Czechowi, adwokatowi z Pragi, który o moim losie został poinformowany, dostałem się do komando pracowników murarskich i tak było mi dosyć znośnie. Niestety nazwiska owego siepacza nie pamiętam. W czerwcu zorganizowano spośród więźniów kwarantannowych małe, doraźne komando, do wyładowywania wagonów kolejowych. Wycho-  
dzili oni na robotę tylko wtedy, kiedy wagony z barakami przybywały i wówczas pracowano w największym tempie, przy czym dopuszczano się wobec więźniów największych okrucieństw. Pomijając już bicia przy pracy, odbywanej ciągle biegiem, urządzano sobie takie zabawki jak wyrzucanie czapek poza Postenketa, przy czym więźnia, który po czapkę poszedł, zastrzelono. W momencie wyładowywania z wagonu ostatniej części baraku, pociąg ruszył ze znajdującymi się na wozach kilku więźniami, aby znowu móc ich poza Postenketa wystrzelać. Ci jednak zorientowawszy się zdołali w biegu wyskoczyć, przy czym niektórzy dotkliwie się potłukli. -----

Z początkiem sierpnia przystąpiono do organizowania transportów. Przygotowano trzy transporty. Nie udało się znaleźć w transporcie pierwszym. Wybierano do transportów według zawodów i ja zostałem wpisany jako urzędnik. W dniu 7 sierpnia 1943, w liczbie 270-ciu, po dokładnych badaniach lekarskich, przy czym wybierano tylko najzdrowszych, wyszliśmy z Gusen i udaliśmy się do Mauthausen, gdzie jeszcze raz poddano nas gruntownym oględzinom lekarskim. Z tej liczby jeszcze odstawiono około 50-ciu jako chorych. Reszta pozostała w Mauthausen dwa dni, w czasie których dano nam kompletnie nową bieliznę i ubrania. Otrzymaliśmy tam nowe numery, ja otrzymałem numer 32972. Tutaj dowiedzieliśmy się, że jedziemy do obozu fabrycznego Wiener-Neustadt. Przejazd do Wiener-Neustadt całego transportu, do którego doszło jeszcze około 500 więźniów z Mauthausen, trwał zaledwie pół dnia, tak że już w godzinach popołudniowych byliśmy na miejscu. Obóz znajdował się tam w murowanych budynkach jednopiętrowych przytykających do ogromnej przeszło 300 m długości liczącej hali



fabrycznej, w której mieliśmy pracować. W obozie razem z nami było około 1300 więźniów. Bloki były murowane, izby bardzo duże, ale czyste, gdyż urządzenie obozowe było zupełnie nowe. Każdy otrzymał nowy siennik i zagłówek, które napchaliśmy wełną drzewną. Również dwa, otrzymane przez każdego koca, były całkiem nowe. Po dwóch dniach przydzielono nas do pracy, przy czym zupełnie nie zwracano uwagi na żadne fuchy, według których byliśmy do transportu rekrutowani. Większość więźniów została przydzielona firmom, zajmującym się budowaniem i wykańczaniem hali fabrycznej. Ja pracowałem w firmie budowlanej. Z uwagi na obecność cywilnych robotników, którzy w rzeczywistości robotami kierowali, warunki pracy okazały się dość znośne. W każdym razie w czasie samej pracy szykan zasadniczo nie było. Plagą tego obozu był dobór SS-mannów, pod których kierownictwem obóz pozostawał. Sam komendant obozu Sturmführer Müller, typowy niemiecki degenerat, sadysta, starał się wszelkimi sposobami o obrzydzenie więźniom warunków ich bytu, posługując się przy tym trzema Blockführerami, których, podobno za zbyt krwawe wyczyny w Mauthausen, stamtąd usunięto. Za każde przewinienie w czasie pracy, zgłoszone czy to przez kapów, czy też przez SS-mannów, odbywały się wieczór egzekucje, przy czym obłostą zajmowali się sami Blockführerzy. Do męczącego dzieła katowania ludzi zdejmowali nawet sobie koszule i nakładali rękawiczki. Po jakichś dwóch miesiącach, prawdopodobnie na skutek interwencji cywilnych pracowników, te egzekucje faktycznie ustały. O ile chodzi o naszych kierowników niemieckich, byli oni również po większej części przestępcami kryminalnymi i z więźniemi obchodzili się także w sposób łajdacki. Bicia i szykany były również na porządku dziennym, przy czym groza stopniowo jednak malała. Zwłaszcza w stosunku do nas, Polaków, z uwagi na to, że element nasz w pracy był na każdym miejscu faworyzowany i byliśmy wyróżniani jako najlepsi pracownicy. O ile chodzi o odpowiedzialniejsze stanowiska w fabryce zajmowali je po większej części, spośród więźniów, Polacy. W obozie tym, w którym przebywałem trzy i pół miesiąca, dopiero w



ostatnim tygodniu zezwolili na napisanie listu do domu, a ponieważ w międzyczasie Gusen bez żadnej adnotacji zwracał, skierowane do nas przesyłki, przeto rodziny nasze uważały nas za zmarłych. Wskutek tego tylko ci, którzy przybyli z Mauthausen otrzymywali przesyłki żywnościowe. Te jednak były w tak straszny sposób okradane przez Lagerälteste Lorenza i jego klikę, że zaledwie ślad tego co więźniowie otrzymywali w paczkach dochodził do nich w rzeczywistości. Zaraz na trzeci dzień po naszym przybyciu miał miejsce, nieoczekiwany zresztą zupełnie i pierwszy w czasie wojny na terenie Austrii - nalot. Nie sprowadzono nas w ogóle do schronu, o którego istnieniu dotychczas nie wiedzieliśmy i cały nalot składający się z trzech faz przebyliśmy na otwartej przestrzeni koło hali fabrycznej. Szeroką pobliskich hal fabrycznych zostało już przy tym pierwszym nalocie zburzonych. Nasza, jak i sąsiednia fabryka Raxwerk /wozów pancernych/ zostały nieuszkodzone. Od tego dnia widmo nalotu nie przestało nas prześladować aż do końca. Alarmy powtarzały się od tamtąd niemal bezustannie, nalotów zaś przeżyliśmy jeszcze trzy. W czasie nalotu schodziliśmy do piwnic korytarzowych, położonych jakieś dwa metry pod halą. Nie dawały one wielkiego zabezpieczenia, a jednak dzięki nim, większość ludzi wyszła z życiem. Przy drugim nalocie bowiem jedna z bomb uderzyła w barak drewniany w pobliżu naszej hali w którym były biura niemieckie i gdzie w schronie poniosło śmierć około 30 urzędników niemieckich. Również zostało rozbite mieszkanie komandanta. Za trzecim nalotem w dniu 2 listopada 1943 r. dwa bloki nasze zostały rozbite i hala w trzech miejscach uszkodzona, przy czym 7 więźniów poniosło śmierć, a kilkunastu zostało poranionych. Po tym bombardowaniu, jakkolwiek podjęto jeszcze próby uruchomienia fabryki, jednak zniszczenia okazały się tak poważne, że wreszcie postanowiono fabrykę zlikwidować i przenieść na inne miejsce. Nie wspominałem jeszcze, że hala ta była przeznaczona do fabrykacji torpedy powietrznej V 3 i w wykończonych części hali praca była już w pełnym toku. W tej fabryce wyrabiano jedynie, przynajmniej do tego czasu,



środkowe części tej torpedy, czyli tzw. szale /zewnętrzne metalowe powłoki/. -----

O ile chodzi o obóz w Wiener-Neustadt, poza obawą nalotów i poza ogromnym rygorem, panującym w obozie, warunki były naogół znośne. Przede wszystkim nie była stosowana kara bunkra, którego tam w ogóle nie było i na całej przestrzeni istnienia tego obozu tzn. około 5-ciu miesięcy nikt nie został rozstrzelany. Jedynie SS-manni odkryli między Francuzami, czy też Rosjaninami, jednego Żyda i tego tak długo maltretowali, że wreszcie doprowadzili do jego śmierci przez powieszenie. W związku z ucieczką dwóch więźniów zaczął komendant stosować represje zbiorowe, a to poza karą chłosty dla wszystkich, którzy się ze zbiegami komunikowali, odebrano nam aż do odwołania jedzenie. Na skutek jednak interwencji fabryki zarządzenie to zostało uchylone, tak że wieczorem tego samego dnia otrzymaliśmy całe zaległe wyżywienie. Przy wyjeździe naszym z tego obozu / w dniu 17. listopada 1943 został on w zupełności zlikwidowany / niemieccy więźniowie-kierownicy obozu odjechali do Mauthausen, reszta zaś udała się do Buchenwaldu. Podróż trwała trzy dni, w czasie której komendant obozu, który również był kierownikiem transportu wydał zarządzenie, zakazujące podawania nam przez SS-mannów wody, a również zabronił więźniom korzystania z ciepłej strawy, którą Czerwony Krzyż na dworcach kolejowych, skłonny był nam podawać. W Buchenwaldzie zatrzymaliśmy się tylko 4 dni, w czasie których otrzymaliśmy nowe numery. Ja otrzymałem numer 31525. Ubrań nam nie zmieniano, a w czasie dezynfekcji większość postraciła, możliwe zresztą, przywiezione ze sobą obuwie. Po czterech dniach autami towarowymi odwieziono nas do obozu "Dora" w pobliżu Nordhausen w Turynji. Była tam fabryka podziemna, jeszcze zresztą zupełnie niewykończona, a ponieważ budowanie obozu było w stadium początkowym, przeto wszystkich więźniów umieszczono pod ziemią. Bezpośrednio po przyjeździe na miejsce, mimo deszczu i przykrych jesiennej słoty, staliśmy szereg godzin na polu, gdzie nas segregowano wedle zawodów, spisywano numery i rejestrowano. Cały obóz zewnętrzny



składał się zaledwie z jakiegoś bloku szpitalnego, kuchni i szeregu zbitych z desek i oblepionych gliną sześciokątnych namiotów, w których mieściły się składy obozowe. Na zewnątrz jeszcze otrzymaliśmy trochę chleba i sera, po czym wprowadzono nas do tunelu. Owa fabryka podziemna umieszczona była w tunelach, kutyh w skale, urządzonych w ten sposób, że wzdłuż góry przebiegały dwie sztolnie, długie na 1800 m, połączone między sobą 46-ma sztolniami poprzecznymi, a z tych większość podzielona była na dwa, względnie trzy piętra. Prócz tego była jeszcze trzecia odnoga, równoległa do dwóch głównych. Całe to podziemne miasto miało sześć wyjść na zewnątrz, a to: u wylotów sztolni głównych, przez które biegła linia kolejowa, oraz dwa wyjścia bocznymi korytarzami. W czasie naszego przybycia dokonywano wykańczania sztolni głównej "B", a nadto wiercono w dalszym ciągu pomniejsze poprzeczne sztolnie. W tym czasie nie było jeszcze żadnych urządzeń wentylacyjnych ani kanalizacyjnych. Po wprowadzeniu nas do tunelu, umieszczono nas w jednej ze sztolni bocznych, gdzie pozwolono nam sobie usiąść na siennikach, które w znikomej zresztą ilości tam się znajdowały. Siedzieliśmy na sienniku mniej więcej po pięciu; o rozebraniu się, oczywiście, ani spaniu nie mogło być mowy. Koło godziny dziesiątej wieczór urządzono apel i zaprowadzono nas do roboty, przy czym wszyscy zostali na razie przydzieleni do robót transportowych. Praca trwała w jednej sztychu 12 godzin. Zmiana sztych wypadła o godzinie 11-tej rano i wieczór. Po ukończeniu pracy powróciliśmy znowu na wczorajsze miejsca z tym, że tym razem było już trochę więcej sienników, ale o kocach nie było mowy. Sienniki były ogromnie brudne i wszystkie zawilgocone, niemal leżące w wodzie, która w związku z robotami murarskimi spływała przez sztolnie, gdyż, jak zaznaczyłem, kanalizacji jeszcze nie było, mimo że był dopływ wody. Dlatego też wody nie wolno nam było pod żadnym pozorem używać. Więźniowie zajęci pracą w tunelu nie mieli w ogóle możliwości wychodzić na zewnątrz, ohyba wyjątkowo, celem zaopatrzenia się w magazynie w jakąś część ubrania, lub też do ambulansu le-



karskiego. Cztery sztolnie były przeznaczone na mieszkania dla więźniów i podzielono je na osiem bloków. Do spania przeznaczone były "buchty" czteropiętrowe, zbite z dyli i desek, na których poukładane były sienniki. Ponieważ sztolnie te nie mieściły wszystkich więźniów, przeto przybywające transporty przez dłuższy czas mieszkaly, tak jak i my, na sztolniach otwartych. W ciągu odpoczynku dziennego byliśmy dwa razy na dłuższy czas budzeni do otrzymywania jedzenia, które dostawało się nie z bloku, ale w komendach pracy. Na wydanie obiadu czekało się niejednokrotnie i cztery godziny; to samo było z wydawaniem chleba i porcji. Zupy obiadowe były w tym czasie bardzo liचे, tak że nawet w części nie zaspakajały głodu. Chleba otrzymywał więzień 50 dkg, w niedzielę zaś chleb 2-kilowy na trzech. Do chleba dodawano porcje w postaci 25 gr margaryny oraz kiełbasy, względnie mięsa, sera lub marmelady. W piątek tylko była sama margaryna w ilości o kilka gramów większej. Ponieważ praca w podziemiu była ogromnie ciężka, a przebywanie stałe w przykrym i wilgotnym powietrzu w nieprzewietrzanej sztolni bardzo dotkliwe, przeto nie dziwnego, że więźniowie opadali z sił bardzo szybko i śmiertelność była po prostu olbrzymia. Poza tym więźniowie nie mieli możliwości mycia się, gdyż wody, jak wspomniałem, w żadnym wypadku nie wolno było używać, nawet do mycia misek od jedzenia. Za branie wody z kranów, a raczej wykradanie jej, gdyż krany były zawsze zamknięte, bito przyłapanego, jakby za największe przestępstwo. Poza tym w sztolniach przeznaczonych na przebywanie więźniów poza pracą, a raczej w tej części podziemia, w której się te sztolnie znajdowały, odbywały się w tym czasie roboty wiertarskie i wysadzania dynamitowe skał. To też panował tam wieczny huk, przeszkadzający w spaniu, a powietrze było tak przepelnione pyłem, że na kilka kroków ciężko było odróżnić człowieka. Te warunki higieniczne uzupełniały jeszcze otwarte ustępy w postaci dużych kubłów, rozstawionych w znacznej ilości w różnych miejscach. Przez zimę 1943/44 przeciętny stan więźniów wahał się od 8.000 do 10.000, a śmiertelność dzienna około



60 osób, tak że mimo napływu w każdym tygodniu nowego transportu, liczba więźniów nie powiększyła się. W związku z tym wobec małej wydajności pracy ludzi-szkieletów, zmniejszono na przestrzeni 6 tygodni godziny pracy z 12-tu na 8 i podzielono pracowników na trzy szychty. Nie zmieniło to jednak wiele losu więźniów, zwłaszcza, że warunki higieniczne pozostały nadal takie same. Oczywiście zakręciło się robactwo i wszy tak się rozmnożyły, że po prostu garściami trzeba je było z ubrania wybierać. Z końcem zimy przystąpiono dopiero do generalnej dezynfekcji, która ten stan rzeczy trochę naprawiała. W międzyczasie wykończono pewną ilość baraków w obozie zewnętrznym i więźniów zaczęto stopniowo tam przenosić. W połowie lutego otrzymali więźniowie 30% dodatek żywnościowy za pracę podziemną i wówczas rzeczywiście wikt się znacznie poprawił, tak że otrzymywaliśmy bochenek chleba na trzech i prócz niezmiennych porcji /dodatków/ codziennie 50 gr margaryny. O ile chodzi o postępowania wobec więźniów w tym pierwszym okresie czasu, to było ono również bardzo surowe, w wielu wypadkach okrutne, gdyż początkowo niemieccy kierownicy obozu rekrutowali się w większości spośród przestępców kryminalnych. Wszystkie te warunki zaczęły ulegać powolnym zmianom na korzyść i w miarę wykończanie prac budowlanych warunki ulegały polepszeniu. W maju 1944 r. ostatnie grupy więźniów zamieszkały w obozie zewnętrznym. Wentylacja i kanalizacja zostały wykończone, tak że praca, chociaż ciężka wykonywana już była w lepszych warunkach. Postępowanie z więźniami również się trochę poprawiało, do głosu zaczęli przychodzić więźniowie polityczni, a wszystkie te zmiany były niemal związane z niepowodzeniami frontowymi Niemców. Ja osobiście od początków stycznia zacząłem pracować w biurze, a to początkowo jako pisarz w magazynach, następnie zaś w biurze wysunkowym prowadziłem kartotekę. Na tym stanowisku pozostałem do końca mego pobytu w "Dorze". W tunelu tym mieściła się początkowo wyłącznie fabryka torped "V 3" tzn. torped największego typu o długości około 15 m, a średnicy około 1 m 60 cm. W kilku sztolniach mieściły się magazyny. Ponieważ



fabrykacja tej torpedy, zdaje się, zaczęła zawodzić, więc w części podziemia umieściła się fabryka samolotów Junkersa, w której jednak więźniowie nie pracowali. W lecie 1944 dalszą część podziemia obrócono na fabrykację znanej torpedy "V 1". Firma, w której ją pracowali, nazywała się Mittelwerk-Sawadski. O ile chodzi o obóz zewnętrzny, wobec późniejszych prac, wyglądał on całkiem przyzwoicie i był nawet dla więźniów dosyć wygodny. Więźniowie mieszkali w małych blokach, mogących pomieścić najwyżej do dwustu osób w jednej szycie. Zmiana szyci była w tym czasie o godz. 9-tej. Ciepłą strawę otrzymywali więźniowie zawsze rano przy zmianie szyci; xxx szycia dzienna przed udaniem się do pracy, nocna - po powrocie. Na blokach były umywalnie i pełna kanalizacja. Była wprawdzie otwarta kantyna dla więźniów, z natury jednak rzeczy bardzo ograniczona, ponieważ z kont więźniów od początku 1944 r. przestano więźniów w ogóle pieniądze wypłacać, a jedynie otrzymywali oni znikome, bo zaledwie normalnie kilku marek sięgające premie. Papierosy względnie tytoń otrzymywali więźniowie tygodniowo za zapłatą, przy czym początkowo wydawały je komenda pracy, następnie zaś bloki. Kapowie postępowali przy tym zawsze nieuczciwie i więźniów okradali. Odnosi się do apelów, których plaga dawała się więźniom tak we znaki, to początkowo w czasie, gdy wszyscy więźniowie mieszkali w tunelu, miały one miejsce tylko raz na tydzień w czasie zmiany szyci i wówczas wyprowadzano wszystkich więźniów na zewnątrz na pole, gdzie w strasznym błocie stali po szereg godzin. Z uwagi na bałagan w biurowości apele nigdy się nie zgadzały. Wobec wprowadzenia trzech szyci, apele w ogóle ustały, gdyż nie było w tym czasie żadnych przerw w pracy, nawet w dni niedzielne i świąteczne. Wolne niedziele wprowadzono dopiero w czerwcu 1944 r., a i te często przepadały z uwagi na nagłą pracę zwłaszcza przy transportach. W obozie tym przebywali więźniowie po większej części narodowości polskiej, ruskiej, francuskiej, natomiast inne, wszystkie niemal narodowości europejskie, w ilości mniejszej. Część obozu była przeznaczona dla jeńców



wojennych rosyjskich. Mieli oni prawo nosić własne ubrania wojskowe i włosy. Poza tym wykonywali pracę taką jak inni. Spośród więźniów włoskich większość rekrutowała się również z jeńców wojennych, których przy zakładaniu obozu przybyło 1.800. Po roku jednak przy życiu pozostało ich tylko około 300. Poza więźniami, oznaczonymi barwami, jak wyżej wspomniałem, byli tu jeszcze więźniowie policyjni, za przestępstwa o charakterze policyjnym, którzy nosili na piersiach zamiast kąta kolorowego - białą prostokątną szmatkę z napisem "Pol". Prócz tego w drugim okresie pojawił się nowy rodzaj więźniów tylko niemieckich, którzy mieli być sądzeni po wojnie, a nosili koło numerów dużą czarną literę "Z" na białym tle. O ile chodzi o doręczanie paczek, to te doręczano początkowo dosyć sumiennie, chociaż ze znacznym opóźnieniem, a to z uwagi na odległą pocztę, gdyż dla zachowania tajemnicy miejsca położenia obozu, pocztą obozową była odległa miejscowość Sangerhausen. W późniejszym czasie wyszły zarządzenia konfiskowania wszelkich artykułów spożywczych, nie nadających się do natychmiastowego spożycia bez gotowania, a następnie także takich, które można było dłużej przechowywać. Kradziono więc wówczas wszystko z wyjątkiem pieczywa, które przychodziło i tak spleśniałe, a często zdarzały się wypadki, że więźniowi, kwitującemu odbiór paczki, wręczano mydełko owinięte papierem i przewiązane sznurkiem. W niektórych obozach, a to w Gusen i w Dorze, zorganizowane były dla więźniów domy publiczne, tzw. "pufy", obsługiwane przez więźniarki różnych narodowości. Wstęp do takiego domu był płatny. Zaznaczam, że w środowiskach, w których przebywałem, panowała opinia, że szanujący się Polak z tego nie korzysta. Od sierpnia 1944 r. ilość więźniów w obozie zaczęła gwałtownie wzrastać, a to w związku ze stopniową ewakuacją obozów zagrożonych inwazją, jak również znacznymi aresztowaniami powstańców warszawskich. Transporty te przybrały jeszcze bardziej na sile w miesiącach zimowych i przychodziły w stanie opłakanym. Więźniowie odbywali podróż kolejową bez jedzenia, lichu ubrani, w otwartych wozach, to też nie dziwnego, że po przybyciu



takiego transportu, wysyłano z obozu do stacji kolejowej, specjalne grupy ratownicze celem znoszenia trupów, oraz nie mogących chodzić o własnych siłach więźniów. Od lutego b.r. prześladowała nas jedynie ciągle myśl, ażeby i nasz obóz nie uległ ewakuacji w związku ze zbliżeniem się ofensywy zachodniej. W marcu br odkryło rzekomo gestapo na terenie obozu konspirację, mającą na celu opanowanie obozu na wypadek zbliżania się aliantów i w związku z tym nastąpiły ogromne aresztowania, a w rezultacie powieszono 230 więźniów, po większej części narodowości rosyjskiej. Wieszano ich publicznie w miejscu pracy, a to w ten sposób, że zawieszano ich na windzie, służącej do przewozu torped, następnie zaś windę unoszono w powietrze. Wszyscy więźniowie obu szycht, pracujących pod ziemią, musieli przed nimi predefilować. Część więźniów została powieszona w obozie na górze. W obu ostatnich obozach, tzn. w obozach przemysłu wojennego, panowała taka zasada, że, w związku z zachowaniem tajemnicy wojennej, zwalnianie więźniów, które się w innych obozach, mimo wszystko, od czasu do czasu zdarzało, tutaj nie miało miejsca. Przez cały czas mego pobytu w Dorze nie opuścił prawidłowo obozu ani jeden więzień, mimo że wiadomym nam było, iż zwolnienia kilkudziesięciu ludzi leżały w oddziale politycznym. Ucieczki z Dory w początkowym okresie zdarzały się bardzo często, później zaś jakkolwiek sporadycznie, jednak od czasu do czasu się trafiały. -----

Z końcem marca 1945 r. dało się już odczuć w całym obozie i fabryce podenerwowanie w związku ze zbliżającym się frontem. Ostatniego marca, a to w Wielką Sobotę, mimo że uprzednio było zapowiedziane dwa dni przerwy świątecznej w pracy, ogłoszono przez radio fabryczne, że przez cały czas świąt praca odbywać się będzie jak zwykle w dni robocze. 1.IV. t.j. w pierwsze Święto Wielkanocne zeszliśmy, jak zwykle, do roboty, w tunelu jednak nie puszczono nas do zajęć, gdyż jak się okazało, wszyscy pracownicy cywilni zajęci byli likwidacją fabryki. Odbywało się to przede wszystkim w ten sposób, że palono wszystkie plany, papiery i jakiegokolwiek, najdrobniejsze nawet zapiski



Więźniów po pół godziny oczekania odesłano w większości do obozu, poza tymi, którzy wykonywali prace transportowe. Następnego dnia przyszedliśmy do pracy, w biurze już jednak zastaliśmy tylko puste półki i stoły. Po kilku godzinach wróciliśmy z powrotem na górę. Zaczęło się mówić o ewakuacji całego obozu. W dniu 3. kwietnia wycofano z obozu kilka tysięcy więźniów, po większej części Rosjan, którzy mieli być rzekomo przeniesieni do innych filialnych obozów. 4. kwietnia nie poszliśmy w ogóle do roboty i w godzinach przedpołudniowych głośnikami wezwano wszystkich więźniów do stawienia się z kocami i własnymi rzeczami na plac apelowy. Ogłoszono nam na placu apelowym wymarsz, z tym, że na drogę, mającą trwać 3 dni, otrzymujemy: bochenek chleba i puszkę konserw. Na terenie obozu powstał niesamowity zamęt, rabowanie wszelkich składów, tak ubraniowych jak żywnościowych, a gdy doszło do wydawania wspomnianego wyżej zaopatrzenia, część tylko zdołała go otrzymać, reszta zaś, która go nie otrzymała, prawie samowolnie powróciła na bloki i zrezygnowała z transportu. Około 6.000 więźniów zostało jednak w tym dniu na transport wyprowadzonych. Tego samego dnia wieczorem odbyła się na placu apelowym ponowna segregacja tych, którzy mieli się na transport udać, zaś 3.000 fachowców, koniecznych w pracy, miało pozostać na miejscu i w fabryce dalej pracować. Ja należałem do tej właśnie grupy. Następnego dnia zeszliśmy rzeczywiście do tunelu, pracy jednak w praktyce żadnej nie było; obecnych zatrudniano trochę przy oczyszczaniu sztolni "B", celem umożliwienia przejazdu automobilom. W godzinach południowych komenda obozu wezwała wszystkich więźniów do obozu i mimo sprzeciwu dyrekcji fabryki, wyprowadzono nas na górę, zatrzymując wszystkich więźniów narodowości niemieckiej, którzy w tunelu zostali. Po powrocie do obozu, nie wpuszczono nas już na bloki, lecz od razu poczęto formować transport na placu apelowym. Reszta obozu już została wyewakuowana, poza komendami ściśle obozowymi, a to kuchnią, rewirem i strażą pożarną. Zapomniałem jeszcze dodać, że w związku z zamierzoną już uprzednio ewakuacją, przygotowano tajne komando, skie



dające się z prominentów niemieckich, które to komando, jak się później okazało, liczba "110" - miało trzymać straż w czasie transportu. W momencie zarządzenia transportu otrzymali oni białe opaski na ręce, a nawet niektórzy otrzymywali broń. Po sformowaniu transportu, po jakich dwóch godzinach, wyprowadzono nas z obozu do stacji kolejowej. W tym czasie byliśmy świadkami ostatecznego niszczenia ważniejszego sprzętu. W pobliżu wejścia do podziemia, na torach kolejowych, dziesiątki wagonów, pooblewanych ropą, płonęło. Poza tym pobliskie miasto Nordhausen, od kilku dni bombardowane, w odległości świeciło łuną. Załadowano nas następnie po stu na jeden mały odkryty wagon kolejowy i już w wagonach otrzymaliśmy po bóchenku chleba i jednej puszcze konserw. Okazało się jednak, że pożywienia tego jest za mało i szereg wagonów w ogóle go nie otrzymał, mimo że żywność przygotowana była dla wszystkich. Przyczyną tego było to, że komando 110 musiało się lepiej na drogę zaopatrzyć. Zaopatrzenie nasze miało nam starczyć na trzy dni. Ponieważ zaczęło lekko padać, przeto wagony otwarte przykryto celtowymi płachtami, pozbawiając nas tym, nie tylko światła, ale przede wszystkim powietrza. Celt spoczywał na naszych głowach, gdyż oczywiście w tej liczbie wszyscy musieli stać. Później powiększaliśmy sobie przestrzeń w ten sposób, że za pomocą desek, znalezionych na stacji, a układanych na krawędziach wagonów, dobudowywaliśmy pięterko. Transport liczył około 3.500 osób. Późnym wieczorem pociąg ruszył wreszcie z miejsca. Podróż tym pociągiem trwała dwa dni, przy czym pociąg zatrzymywał się często na szereg godzin, wracał z powrotem, tak że wreszcie trzeciego dnia byliśmy oddaleni od miejsca wyjazdu zaledwie około 40 km. Jak się okazało, linie kolejowe były już przez wojska amerykańskie poodcinane. Wysadzono nas, w niepamiętnej mi z nazwy miejscowości i tam zapowiedziano nam dwudziestokilometrowy marsz pieszo. Ci, którzy nie czuli się na siłach, ~~węskx~~ mogli się zgłosić. Takich było kilkudziesięciu i co się z nimi stało, nie wiem. Marsz początkowo był zupełnie spokojny przez bardzo ładne okolice gór harcyńskich. Około południa odczuliśmy



pewne zdenerwowanie i ku naszemu zdziwieniu, zmieniliśmy kierunek, przy czym szybkość marszu gwałtownie się zwiększyła. Kilka razy zatrzymywano nas, po czym po jakichś długich wywiadach i konferencjach, udaliśmy się w dalszą drogę, ale znów w innym kierunku, niż <sup>ten</sup> tym, o którym była mowa. Wreszcie weszliśmy w wąwóz, prowadzący do miasta Ocker. Na tej trasie marsz był okropnie szybki, utrudniony ciągłym przejazdem wojsk, tanków niemieckich, przygotowywaniem "pancerfaustów", a poza tym przy ciągłym skompaniowaniu detonacji artyleryjskich i lotniczych. Słabnących więźniów i nie mogących dalej iść strzelano bez ogródek i w ciągu drogi na każdym kroku napotykalismy na zwłoki w pasiatch ubraniach. Ostatnia część drogi wypadła już w kompletnych ciemnościach nocnych, w lesistej okolicy. Tak dobiliśmy do stacji kolejowej w mieście Ocker, gdzie bez dłuższego zatrzymywania się kazano się nam ładować do pociągu. Ponieważ ładowanie to, tak jak i droga ostatnia, odbywało się w kompletnej ciemności, przeto dawało to okazję do łatwej ucieczki, z czego też wielka liczba skw więźniów skorzystała. Los zbiegów jest nam jednak niewiedomy. Rozpoczęła się podróż kolejowa, trwająca sześć dni, w wagonach, tym razem krytych, w liczbie co najmniej 100 ludzi w małym wozie. Jedzenia oczywiście nie otrzymaliśmy żadnego. Zaznaczam jeszcze, że w czasie opisanego marszu widocznie na skutek zarządzeń władz niemieckich, ludność odmawiała nam podania wody. W czasie tej, sześć dni trwającej, podróży kolejowej, bardzo wielka liczba więźniów zmarła z głodu i wycieńczenia. Zwłoki wyrzucano do ostatnich wozów, tak że, po przybyciu na miejsce, zapełniono nimi dwa wagony. Podróż ta miała dosyć dziwny charakter, gdyż, zdaje się, nie miała określonego celu i do tych samych miejscowości wracaliśmy nieraz kilkakrotnie. W Magdeburgu byliśmy 3 razy, w Nauen 4 razy. Miało się takie wrażenie, jakby transport nasz umyślnie stawiano na zagrożonych lotniach i miejscach, ażeby w ten sposób pozbyć się niepotrzebnego balastu, tak np. w czasie pełnego alarmu lotniczego na Wittemberg pozostawiono nasz pociąg na nocie na Elbie, przytykającym bezpośrednio do dworca



kołajowego. Po sześciu dniach dobiliśmy wreszcie do obozu w Ravensbrück. Tam pozostaliśmy około 2 tygodni, przy czym tylko część więźniów zabierano do roboty przy kopaniu rowów. Jadzenie w Ravensbrück było okropne, gdyż otrzymywaliśmy mały bochenek chleba na siedem względnie osiem osób, trzy razy dostaliśmy do tego trochę margaryny, a prócz tego pół litra <sup>zupy</sup> z suszonej jarzyny, której w każdej zupie było najwyżej dwie łyżki. Tu jednak wydano nam po raz pierwszy paczki amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Były to paczki trzykilowe i tak ożywczo treściwe, że można śmiało powiedzieć uratowały one życie większości więźniów. Otrzymaliśmy je dwa razy, przy czym za każdym razem brakła ich znaczna ilość, tak że np. więźniowie na rewirze otrzymywali jedną paczkę na siedmiu. Zarząd obozu wydawał tyle paczek, ilu było więźniów, ale komando 110 z białymi opaskami potrzebowało lepszego zaopatrzenia. Po dwóch tygodniach udaliśmy się w dalszy transport w związku ze zbliżaniem się frontu wschodniego. Na drogę otrzymaliśmy większą paczkę amerykańską na dwóch i pół bochenka chleba, z tym, że dla ostatnich znowu zabrakło, i my, reszta, otrzymaliśmy paczkę już na trzech i 1/4 chleba. Chorych więźniów przewieziono gdzieś autami. Bezpośrednio po opuszczeniu Ravensbrück, który opuszczaliśmy w grupach po 500, rygor transportowy kompletnie się rozluźnił. Nasi strażnicy przestali na nas w ogóle zwracać uwagę, tak że po kilku godzinach każdy w zasadzie mógł robić, co mu się podobało. Wielka ilość więźniów od razu tego pierwszego dnia "ulotniła się". Ustosunkowania się ludności miejscowej niemieckiej było dla nas już zupełnie żyzliwe. Jeżeli więźniowie posuwali się, mimo wszystko, naprzód, to na skutek przyjaznych ostrzeżeń naszych strażników, że za wycofującym się wojskiem posuwają się formacje SD, które oczyszczają teren i mają nakaz rozstrzeliwać wszystkich napotkanych cudzoziemców. Po drodze napotykaliśmy na nasę transportów, tak męskich, jak i żeńskich, które w zasadzie odbywały potem podróże wspólnie, grupami. Zazwalano nam już w tym czasie korzystać z ziemniaków, zakopcowanych na polach. Tylko przy przejściu przez miasteczka, zbierano przechodzących więźniów w grupy i przeprowadzano ich na drugą stronę miasta, po czym powracała



dawna swoboda. Dwie noce nasza grupa przespala w stodole, trzecia zaś w polu. Czwartego dnia przybyliśmy do miejscowości Malhoff, a dowiedziawszy się o znajdującym się tam małym obozie, udaliśmy się do niego. W ogóle obóz ten zmienił się w hotel, gdyż więźniowie, bynajmniej do tego nie zmuszani, sami pojedynczo do niego się zgłaszali. Nie więc dziwnego, że mały ten zresztą obozik był ogromnie przeładowany. Dali nam tam trochę, rozpaczliwej w smaku, zupy z surowej i niesolonej brukwi i po kawałku chleba z margaryną. Następnego jednak dnia znowu zarządzono dalszy transport. Tym razem wychodziliśmy grupami po 300 osób, otrzymawszy na drogę po dwie paczki francuskiego C.K. na pięć osób. Transport ten, ku naszemu olbrzymiemu zdziwieniu, od samego początku miał charakter rygorystyczny i byliśmy bardzo silnie obstawieni strażnikami. Pochód był szybki, przy czym znowu zdarzały się wypadki zastrzelenia słabych, a zatrzymujących się popędzano kolbami i grożono rewolwerami. Odgłosy walk posuwały się bezpośrednio za nami. Marsz trwał trzy dni, przy czym noce spędzaliśmy w lesie, pod gołym niebem. W dniu 3 maja bezpośrednio po pobudce rannej, gdy udaliśmy się w drogę, dowiedzieliśmy się, że z drugiej strony od zachodu, w niedalekiej już odległości, są wojska amerykańskie. Zapanował w grupie ogromny entuzjazm, zwłaszcza, że był to przecież dzień najmiłszego sercu polskiemu święta narodowego. Na początku miasta Parchim zauważyliśmy między zebraną w znacznej ilości ludnością cywilną dziwne podniecenie i zaczęło się już coraz wyraźniej mówić o znajdujących się w okolicy wojskach amerykańskich. W tymże czasie nad naszymi głowami bardzo nisko przeleciał samolot amerykański bez żadnego zainteresowania się nim armią niemieckiej, mimo, że przecież były na miejscu i karabiny maszynowe, a nawet i działka. Bezpośrednio prawie później posłyszeliśmy jakieś okrzyki i ku naszemu największemu zdziwieniu zobaczyliśmy dwa osobowe auta amerykańskie, a w każdym siedziało zaledwie po czterech osoby, nieprzygotowane zresztą do walki. Żołnierze ci na okrzyki odpowiadali ukłonami, a zauważywszy nas, więźniów polskich,



odsalutowali nam dwoma palcami. Auta te po chwili zawróciły i odjechały z powrotem. Ta obecność wojsk amerykańskich, przy równoczesnym znajdowaniu się jeszcze nierozbrojonego wojska niemieckiego, była dla nas zupełnie niezrozumiała, tym bardziej, że asysta postów ciągle nam towarzyszyła. Z drugiej strony miasta w rzadkim lasku zarządzono odpoczynek. W czasie tego postoju przejechaliśmy znowu dwa, czy trzy tanki amerykańskie, które, zawracając, rozbrajały napotkanych tylko po drodze Niemców, po czym dość szybko odjechały z powrotem. Nie zwracając uwagi na postów nam towarzyszących ja i pięciu kolegów podążyliśmy naprzód, ledwo jednak doszliśmy do drogi, posłyszeliśmy warkot motorów, po czym detonację artyleryjską. Okazało się, że z prawej strony drogi w lesie ukazały się tanki sowieckie. Na drodze powstał w tym momencie niesłychany popłoch i zator pojazdów konnych, motorowych, uciekającego wojska i ludności cywilnej, która zaczęła odrzucać swoje rzeczy i pędem już bieść naprzód. Bojąc się znaleźć w miejscu walki przedarliśmy się na drugą stronę drogi i następnie polami udaliśmy się do następnej wsi. Tam nie zastaliśmy wojska żadnego, zatrzymaliśmy się na noc i spaliśmy w barakach, przeznaczonych dla więźniów wojennych. Następnego dnia rano dowiedzieliśmy się, że w okolicy są już wojska sowieckie. Pierwszy napotkany przeze mnie sowiecki żołnierz, a to oficer na koniu, zapytał mnie po polsku: "Co pan tu robi?", a dowiedziawszy się, że jestem więźniem z obozu, polecił nam wracać spokojnie do domu. Rozpocząłem tedy z przyjaciółmi drogę powrotną do domu, częściowo pieszo, częściowo zaś podwodami, a po przekroczeniu Odry - kolejną. W dniu 15 czerwca powróciłem do Krakowa. -----

W ciągu zeznań zapomniałem jeszcze podać jednej charakterystycznej rzeczy dla obozu w Gusen, Mauthausen, Wiener-Neustadt i początkowo "Dory", a mianowicie, że więźniom dla odróżnienia ich od "cywilistów" wycinano na głowie, a raczej wystrzygano linię, względnie pas, szerokości maszynki do strzyżenia, od czoła aż do karku. Gdy inne włosy trzeba było zestrzyć, włosy w pasie pozostawiano w kształcie grzebienia



- 47 -

83

koguciego. W Dorze odstąpiono następnie od tego na wyraźne życzenie pracowników cywilnych. W późniejszym czasie Dory mogli zasłużeńi starsi więźniowie na prośbę otrzymywać indywidualne zezwolenia na noszenie włosów. -----

Przeglądając cały protokół przychodzę do przekonania, że wypada on absolutnie blado i nie jest w stanie ani w części oddać grozy i beznadziejności, w jakiej znajdowaliśmy się. -----

Na tym protokół zakończono i po przeczytaniu podpisano. -----

Protokół ten jest oryginałem i składa się z 47 stron pisma maszynowego, ponumerowanych kolejno cyframi wzrastającymi od 1 - 47.--

S w i a d e k

/-/Tadeusz Kahl

Prokurator

/-/Wincenty Jarosiński

Sędzia

/-/Stanisław Zmuda

Protokolantka

/-/Aniela Piasecka

Z oryginałem zgodny

/Sędzia Sledczy/

*Janowski*